ORZEŁ BIAŁY (White Eagle) & SYRENA 11/18 August 1960 — Price-Prix 1/3, NF 0.75, $ 0.20

ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność

ROK XX

LONDYN—PARYŻ

SYRENA

NR 32/3 (945/6) (641/2) CZWARTEK 11-18 sierpnia 1960

ZLOT PIĘĆDZIESIĘCIOLECIA Z. H. P. W LILFORD

HARCERSTWO KUŹNIA CHARAKTERU

Refleksje z odwiedzin na Zlocie — Generał Anders wśród harcerek, harcerzy i zuchów.

W DNIACH od 3 do 12 sierpnia, w przepięknie położonym parku Lilford koło Oundle rozbito namioty jubileuszowego zlotu harcerstwa polskiego. Był on częścią składową obchodów pięćdziesięciolecia, które harcerki i harcerze święcili we wszystkich krajach wolnego świata, w których mieszkają Polacy. W zlocie w Lilford z konieczności udział brały tylko hufce i drużyny z W. Brytanii. Obecność jednak przedstawicieli innych krajów, nie tylko z Belgii czy Holandii, lecz i z odległej Wenezueli, była widomym dowodem jak szerokie ruch harcerski zdołał zatoczyć kręgi, pomimo różnych i nieraz bardzo trudnych warunków.

Zachowano też najważniejszą ze wszystkich więź z tysiącami harcerek i harcerzy w Polsce. Nie miała ona wyrazu organizacyjnego ze względów równie zrozumiałych co tragicznie smutnych. W Polsce właściwe obchody jubileuszowe harcerstwa polskiego odbywać się muszą nie na zlotach, lecz w sercach harcerskich. W Polsce bowiem harcerstwu nałożono pęta ideologii sprzecznej z podstawami moralności i etyki chrześcijańskiej, z której cały ruch skautowy, a polski ruch harcerski w szczególności wyrósł. W Polsce harcerzy jest rzesza ogromna, nie ma jednak harcerstwa polskiego, choć organizacja przez komunistów prowadzona tej właśnie nazwy używa.

Zlotowi w Lilford poświęcimy więcej miejsca w jednym z najbliższych naszych numerów. Uczynimy to z radością, której towarzyszyć będzie wdzięczna pokora. Oba te uczucia płyną z przeświadczenia jak bardzo błądziliśmy, ilekroć wątpiliśmy o skuteczności pracy dla Polski poza jej granicami. Jak bardzo grzeszyliśmy brakiem wiary i ufności, słuchając przemądrzałych a tak bardzo bezmyślnych sądów o młodzieży polskiej urodzonej i wychowanej na obczyźnie. Zlot w Lilford, jest potężnym zastrzykiem optymizmu i nadziei, więcej, mocnej wiary, że młodzież ta obowiązki swoje pojmuje równie dobrze jak ich harcerscy poprzednicy z przed lat pięćdziesięciu.

Zmieniły się czasy i zmienili się ludzie. Nie zmienił się jednak nastrój, nie zmienił się duch, który stanowi o wartości idei.

Czymżeż bowiem jest harcerstwo jeśli nie ideą, nakazującą żyć w sposób, który sam z siebie jest idei tej wypełnieniem. W historii Polski idea harcerska znaczyć będzie znacznie więcej niż znaczy idea skautowska w historii innych narodów. Nie uroniwszy bowiem nic z założeń wychowawczych Baden Powella potrafiliśmy harcerstwo wynieść na wyższy szczebel pojęciowy. Uczyniliśmy z niego służbę Bogu, Polsce i Bliźniemu. Jednocześnie zaś — i ogromna to zasługa harcerek i harcerzy polskich — nie nadaliśmy słowu „służba" piętna patosu i cierpiętnictwa. Harcerstwo jest ruchem radosnym, ideą szczerą i niewymuszoną. Wesołość dnia codziennego jest jego cechą równie doskonałą jak doskonałą była ofiara z życia złożona przez tylu jego członków w niekończących się okresach ciężkich prób narodowych.

Naród polski może być dumny ze swych harcerzy. Dumny z nich i za wiele im wdzięczny. Wdzięczności tej rzecz jasna nie domagali się nigdy

(Dokończenie na str. 4)

PO CZTERDZIESTU LATACH

(W ROCZNICĘ BITWY WARSZAWSKIEJ)

PO CZTERDZIESTU latach wyrosły już polskie pokolenia, które nie tylko same nie pamiętają wojny i zwycięstwa roku 1920, ale najmłodsze nie miały nigdy zapoznać się z jego historią, wielkością ani znaczeniem. Od dwudziestu z górą lat, odkąd na ziemie nasze wkroczyli w 1939 r. zaborcy, a po wojnie zapanował oparty o Moskwę komunizm, Święto Żołnierza w dniu 15 sierpnia nie może być obchodzone. Prasa, rozgłośnie radiowe, wychowawcy w szkołach i mówcy na zebraniach publicznych. cały aparat państwa komunistycznego, starający się kierować umysłowością narodu i sączyć w nią codziennym wysiłkiem swój wrogi fałsz, pomijał albo zakłamywał prawdę zwycięstwa warszawskiego.

Gdy głównym dążeniem sowieckiego komunizmu jest odwrócić naród polski frontem przeciw zachodowi a podporządkować imperializmowi despotycznej Moskwy, pamięć o zwycięstwie Polski, które zatrzymało przed czterdziestu laty pochód tego imperializmu na Europę, musi być wytępiona i wykorzeniona z wyjątkową gorliwością. Tryumf własnych sił narodu, jego zdolność do suwerennego bytu oraz istotnej roli w życiu całej Europy, pamięć jego niezłomnej wiary, jedności i genialnego przywództwa w miesiącach śmiertelnej próby roku 1920, to wszystko mogłoby dziś krzepić młode pokolenia polskie. Mogłoby dawać im światło nadziei pod beznadziejnym i wszechwładnym, zdawałoby się „nieodwracalnym" — jak chcieliby wmówić kapitulanci — panowaniem Moskwy, mogłoby budzić tęsknoty do własnych, wielkich czynów w przyszłości. Trzeba więc zwycięstwo roku dwudziestego tym bardziej wyrwać z pamięci i historii narodu, lub sfałszować jego prawdę i tak poniżyć, obrzucić błotem, aby — zamiast źródłem chwały i czci dla wielkości przodków — stało się wspomnieniem hańby i głupoty.

Temu naciskowi komunistycznego aparatu państwowego może się przeciwstawiać w Kraju tylko zamaskowany opór społeczny. Na straży prawdy historii narodowej stać może w ciaśniejących granicach Kościół i tradycja, najłatwiejsza do pielęgnowania — jak w czasach dawnych zaborów — w kręgu życia rodzinnego, przez nowoczesny ustrój totalizmu komunistycznego, niestety, coraz silniej penetrowanego i według nakazów doktryny skazanego na stopniowy rozkład i uwiąd. Narodowemu wysiłkowi obrony prawdy historycznej, ustnej tradycji która winna sobie wypracowywać stosowne środki walki z coraz perfidniejszymi metodami niszczenia istotnych pierwiastków duszy polskiej, musi coraz sprawniejszymi i nowymi sposobami pomocy przychodzić emigracja polityczna. Ta pomoc Krajowi w walce o wartości duchowe, prowadzonej w milczącym osamotnieniu przez najmocniejsze i najzdrowsze żywioły Kraju, dławionego przez komunistyczny nacisk, to nasze najważniejsze zadanie, które musimy wypełniać stale i także z okazji prawdziwych a skazanych na banicję rocznic narodowych.

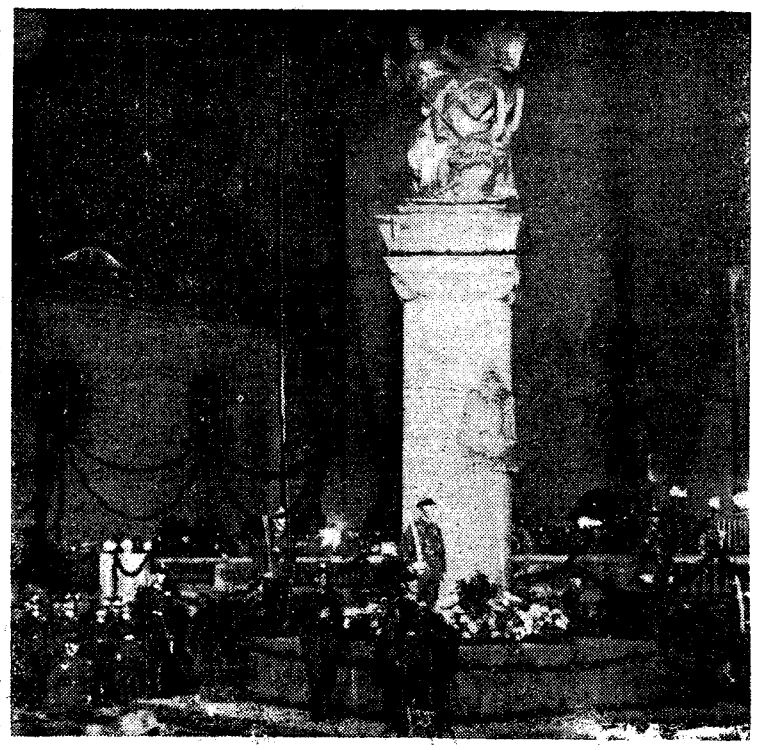

KU CHWALE ZWYCIĘSTWA ŻOŁNIERZA POLSKIEGO NAD NAWAŁĄ BOLSZEWICKĄ W ROKU 1920.
(Pomnik 15 pułku ułanów poznańskich na wzgórzu zamkowym w Poznaniu)

Determinizm historyczny marksizmu, stanowiący dogmatykę narzucanego naszemu społeczeństwu myślenia, poucza o nieodwracalności zwycięskiego pochodu komunizmu i nieuchronnym jego tryumfie końcowym. W ramach tej teorii, zwycięstwo nasze w 1920 r., które zatrzymało bolszewicką nawałę, zmierzającą do złączenia się z rewolucją niemiecką „po trupie Polski", miałoby pozostać w dziejach jedynie krótkim epizodem zamierzchłej, przezwyciężonej ostatecznie przeszłości. Tylko niepoprawni marzyciele mogą marzyć o upadku imperium komunistycznego; koegzystencja z nim to rzekomo jedyny nakaz politycznego realizmu.

W rzeczywistości, pochód imperialistyczny moskiewskiego komunizmu choć zawładnął po II wojnie Polską i połową Europy, choć ogarnął Chiny, jest przecież wciąż najwyżej na połowie swojej drogi do zwycięstwa. Nawet dokoła nas, w Europie nie zdołał jeszcze w całości wykonać programu z roku 1920, bo „po trupie Polski" nie zdołał połączyć się z całymi Niemcami, a skomunizowanie ich pozostaje dalej sprawą niepewnej przyszłości.

I chociaż mirażami „pokojowej koegzystencji" i propagandą rzekomych zmian w komuniźmie, jakoby pozbawionym po śmierci Stalina swojej destrukcyjnej agresywności, próbuje Moskwa czujność świata wolnego usypiać, dzieje pochodu bolszewickiego przeciw cywilizacji nie zapisały jeszcze szczęśliwie swoich kart ostatnich. Zwycięstwo Polski w roku 1920 może być źródłem wiary w przyszłość nie tylko dla Polski.

Jak stwierdziła ostatnio, przytoczona w poprzednim numerze na naszych łamach, uchwała byłych wojskowych polskich we Francji, sierpniowe Święto Żołnierza, *„to nie tylko rocznica jednego z najświetniejszych zwycięstw w naszych dziejach, ale także źródło ufności i otuchy, iż ta sama złowroga siła, która w roku 1920 odepchnięta została od murów Warszawy, choć obecnie trzyma w jarzmie Polskę i inne kraje środkowej i wschodniej Europy, rozbije się o potęgę wolnego świata". Z. S.*

W NUMERZE:

WYWIAD Z DALAJ LAMĄ

przeprowadzony przez naszego korespondenta Jarosława Giercarza.

LIST DALAJ LAMY DO GEN. ANDERSA

Jak się dowiadujemy generał Anders otrzymał przed kilku dniami list od głowy państwa i kościoła tybetańskiego, w którym daje on wyraz swej wdzięczności i wzruszenia z jakimi przyjął zapewnienia współczucia i zrozumienia tragicznego losu narodu tybetańskiego. Dalai Lama pisze dalej o swej radości, iż wśród wybitnych osobistości współczesnych znajdują się ludzie pokroju generała Andersa, którzy rozumieją i zdają sobie sprawę z krytycznej sytuacji w jakiej znaleźli się Tybetańczycy.

Czytamy m.in.: **„Wiele tysięcy Tybetańczyków zostało zmuszonych do szukania schronienia na obczyźnie, podczas gdy rzesze ich współbraci żyją pod zmorą tyranii i ucisku. My Tybetańczycy cenimy sobie bardzo uczucia i sympatie innych narodów, które pozostają pod obcym jarzmem. Żywimy nadzieję, że cywilizowane narody świata podejmą kroki, które im pozwolą wypełnić święty obowiązek przyjścia z pomocą wszystkim narodom ujarzmionym".**

Na innych stronach:

Z. Borynicz:
Moja wyprawa kijowska
St. Mękarski:
Gomułka pod Grunwaldem
W. Opolski:
Piasecki organizuje kołchozy
J. Łobodowski:
O Tadeuszu Sułkowskim
K. Glabisz:
Znamienny wywiad
M. Niemojowska:
Kameleon i Ofiary
T. Lisiewicz:
Dwa czasy w jednym
A. Stambrowski:
Pod całunem frazesów
oraz
Odcinek powieści „Droga Powrotna" — Przegląd sportowy — Kronika Wojskowa — Życie kulturalne — Między plotką i anegdotą — Tydzień polityki międzynarodowej — Wiadomości społeczne — Bridż — Krzyżówka konkursowa.

fraszki

POWÓD

„Świetnie pan wygląda! Poprawił się pan ogromnie!"
„Bo żona wyjechała, przestała dbać o mnie".

KANAŁ POD LA MANCHE

Gdyby zrobili metro, byłoby bardziej „fair".
Człowiek wsiadłby w „Ognisku", wysiadł w „Folies Bergère".

PRÓBY ATOMOWE

Na sprawy pokoju szalenie są czuli.
Pokoju nie dali, pogodę zepsuli.

St. Kotwicz

W. OPOLSKI

SPRAWY KRAJOWE

Bolesław Piasecki organizuje kołchozy

Od kilku miesięcy paxowskie Słowo Powszechne publikuje artykuły i listy nadsyłane z całej Polski w odpowiedzi na rozpisaną w styczniu przez Piaseckiego ankietę *„O konieczności socjalizacji wsi polskiej"*. Piszą paxowcy różnych szczebli społecznych: chłopi,pisarze t.zw. spółdzielcy, absolwenci szkół nauk społecznych i kandydaci na przyszłych posłów z ramienia Paxu. Wszyscy, t.zn. ci których listy Słowo Powszechne opublikowało są za kolektywizacją czyli za wciągnięciem wszystkich chłopów do kołchozów, jednak skrzętnie zaniedbano ogłoszenia listów przeciwnych kolektywizacji.

Całą akcją prowadzą: nowo mianowany kierownik propagandy Paxu, redaktor Przetakiewicz oraz zastępca naczelnego redaktora Stundzis. Prawie co tydzień poświęca się temu zagadnieniu całą stronnice zawierającą fotografie i hasła. Jedna z takich fotografii przedstawia walącą się ruderę a obok niej kilka domków murowanych zaś napis obok mówi „tak mieszka chłop indywidualny, a tak chłop — członek spółdzielni produkcyjnej". Inne znowu hasło głosi „otrzymaliśmy wieś drewnianą, pozostawmy murowaną".

Wśród zespołu aktywistów Paxu, na czoło wysuwa się pisearz Jan Dobraczyński. Pod tytułem „Dla dobra Ojczyzny" pisze on w Słowie Powszechnym z 23 maja b. r., że chłopi w ciągu wieków, gospodarując indywidualnie, nie mogą zrozumieć wielkich korzyści jakie przynosi gospodarka zespołowa. Odpowiedzialność — zdaniem Dobraczyńskiego — ponosi najczęściej miejscowy ksiądz, do którego chłopi-parafianie zwracają się o poradę. Ksiądz — pisze dalej Dobraczyński — nie musi się angażować bezpośrednio w pracy organizacyjnej, winien jednak wyjaśnić, że przejście z gospodarki indywidualnej do zespołowej, przyczyni się do dobrobytu całego narodu. Gdyby nawet przejście do kolektywu było dla chłopa bolesnym nawet przeżyciem, to winien on pamiętać, że ważniejszą od tradycji jest Ojczyzna.

W tydzień później zabrał głos Stundzis. Powołując się na wypowiedzi Dobraczyńskiego, Stundzis przytoczył uchwały III Zjazdu PZPR, który wytyczył program socjalizacji wsi polskiej, oraz na przemówienie Gomułki, który zapowiedział, że wieś polska *musi* przejść rewolucję socjalistyczną.

Piasecki przejmuje rolę Zambrowskiego

Jak wiadomo, organizacją kołchozów, nazwanych w Polsce rolniczymi spółdzielniami produkcyjnymi zajmował się od roku 1948 Zambrowski, obecnie sekretarz centralnego komitetu i członek Politbiura. Metody, za pomocą których wpędzał chłopów do kołchozów pozostały do dzić dobrze w pamięci, szczególnie w pamięci chłopów na ziemiach odzyskanych. Wobec bezbronnych chłopów przesiedlonych zza Buga, Zambrowski zastosował wszystkie możliwe środki administracyjne, począwszy od urzędów podatkowych a skończywszy — jak to miało miejsce w Gryficach, w województwie szczecińskim — na obijaniu do krwi chłopów oraz niszczeniu i rozkradaniu przez UB ich mienia.

Rezultatem akcji Zambrowskiego było rozpadnięcie się w 1956 r. około 9.000 kołchozów, w tym prawie wszystkich kołchozów na ziemiach zachodnich.

Trudno było przeto pomyśleć, aby organizacje kołchozów powierzono raz jeszcze Zambrowskiemu. A ponieważ zawiodły również na całej linii lokalne komitety partyjne, przeto reżym rozpoczął poszukiwania nowego Zambrowskiego. Znalazł go w osobie Piaseckiego, który za darowanie mu w 1945 r. życia przyrzekł wykonywać sumiennie wszelkie instrukcje otrzymywane z centralnego punktu dyspozycyjnego, a zmierzające do osłabienia roli Kościoła katolickiego w Polsce. Piasecki uchodzi dziś w Polsce za najzamożniejszego człowieka. Obroty jego przedsiębiorstw dochodzą do miliardów złotych. Posiada on monopol na wydawanie wszelkich książek o charakterze religijnym, jego „Veritas" sprzedaje książki do nabożeństwa, dewocjonalja i wino mszalne, a ostatnio skupuje również i złoto. Jego przedsiębiorstwo handlowe „Inko" wyrabia szkło, perfumy, truciznę na szczury i środki chemiczne do „odgrzybiania" cegieł ze zdemolowanych budynków. Jako instytucja wyższej użyteczności publicznej (podobnie jak Czerwony Krzyż!), część jego przedsiębiorstw nie płaci podatków.

Za akcję Piaseckiego reżym nie musi płacić

Za pomocą olbrzymiego aparatu propagandowego, płatnego z funduszów Paxu, z których większa część powinna wpływać do skarbu państwa w formie podatków, Piasecki rozpoczął akcję socjalizacji wsi polskiej. Wyręczył on reżym, którego sekretarze partyjni nie potrafili od roku 1956 zbliżyć się do chłopów. Rozpoczęte po roku 1956 samorzutne organizowanie przez chłopów własnych kółek rolniczych stanęło w miejscu z chwilą, gdy reżym stworzył specjalny fundusz rozbudowy rolnictwa, z którego mieli korzystać wyłącznie tylko chłopi przystępujący do kółek rolniczych. Utarło się hasło, powtórzone zresztą przez samego Gomułkę i powtarzane przez chłopów przy każdej sposobności że „oni, (tj. partia) mówią o kółkach rolniczych, a myślą o kołchozach".

Na propagandę prowadzoną przez Piaseckiego reżym nie musi wydawać żadnych pieniędzy. Koszt ponosi Piasecki z milionów złotych, których nie odprowadza tytułem podatków. Zwołuje zebrania lokalne i powiatowe, a ostatnio, w dniu 22 czerwca zwołał do Warszawy ogólnokrajową konferencję członków ruchu „społecznie postępowego", poświęconą wyłącznie sprawie socjalizacji wsi. Na konferencji, na którą zjechało kilkaset propagandzistów Paxu, zjawili się głównie reprezentanci jego Politbiura: Przetakiewicz, Barszczewski, Czajkowski i inni. Przemawiał docent Grabski, stały współpracownik Słowa Powszechnego, który podkreślił, że wysunięte przez Pax hasło socjalizacji wsi, jest nie tylko nieuchronną koniecznością ale obowiązkiem patriotycznym każdego Polaka bo chodzi tu o dobro całego narodu. Po Grabskim przemawiał redaktor Stundzis, który stwierdził publicznie, że ruch „społecznie-postępowy" prowadzony przez Pax jest sprzymierzeńcem PZPR i dlatego wszyscy ludzie w Polsce, bez względu na ich światopogląd winni poprzeć partię w jej dążeniu do socjalistycznej przebudowy wsi polskiej.

Po Stundzisie przemawiali przedstawiciele „ludu": radcy, magistrzy, i inżynierowie rolni, pracujący w terenie dla Paxu, a korzystający z dobrodziejstw tego ruchu. Zjazd zakończył się obiadem na koszt Paxu.

W dniu 22 czerwca rozpoczął się w Erfurcie, w Niemczech wschodnich, zjazd „Unii demokratyczno-chrześcijańskiej" tj. partii, która w Niemczech wschodnich prowadzi taką samą robotę jak Pax w Polsce.

Na zjazd pojechał Piasecki w towarzystwie Hagmajera oraz naczelnego redaktora Słowa Powszechnego Jankowskiego. Przemówienie imieniem Paxu wygłosił sam Piasecki, a jak wynika z pełnej treści, opublikowanej w Słowie Powszechnym z 24 czerwca powtórzył on prawie wszystkie tezy wygłoszone ostatnio przez swego moskiewskiego pana Chruszczowa. Uderzył w imperialistyczną politykę państw zachodnich, szczególnie Stanów Zjednoczonych, która głosi hasło obrony wolnego świata. Tylko związek radziecki — zdaniem Piaseckiego — wysunął tezę pokojową współistnienia między państwami kapitalistycznymi i socjalistycznymi, a tylko Stany Zjednoczone nie chcą wierzyć w szczerość słów Chruszczowa. Dziś — wołał Piasecki — nie powinno już być ani jednego odpowiedzialnie myślącego chrześcijanina, któryby nie zrozumiał komu zawdzięcza pokój i komu winien służyć. Jest to związek radziecki, któremu Pax, jako bratnia organizacja Unii Demokratyczno-Chrześcijańskiej przyrzeka wierną współpracę. Tak też brzmi uchwała, którą uchwalili przemalowani na czerwono Hitlerowcy z również na czerwono zabarwionym faszystą Piaseckim.

Pominięte opinie

Wspomnieliśmy na wstępie, że Słowo Powszechne umieszcza na swych łamach tylko opinie pochwalające socjalizację wsi według konceptu Piaseckiego. W jednym tylko wypadku pismo nie potrafiło ukryć krytyki, a to z tego powodu, że pojawiła się ona na łamach periodyku „Odra". Autor krytyki Kaczmarek nazwał Paxowców intrygantami i fałszerzami dokumentów. Sam — jak twierdzi — deklarował przed 10 laty swoją pomoc w organizowaniu spółdzielni rolniczych i sam do jednej należał ale — jak pisze — właśnie z wami miałem najwięcej kłopotów, a dziś wy na nowo chcielibyście odkryć Amerykę.

Słowo Powszechne nie odpowiedziało bezpośrednio ale wyręczyło się tygodnikiem Piaseckiego „Kierunki" z 3 lipca b. r. Tłumaczy „panu" Kaczmarkowi, że intencji Paxu widocznie nie rozumie, a są one szczere bo akcja przecież ma przynieść korzyści i chłopom i całemu narodowi.

Innych zapewnie lepszych wypowiedzi pisma Piaseckiego nie ogłosiły.

Najgorszy sprzymierzeniec

W dążeniu do skolektywizowania wsi, reżym nie mógł sobie wybrać gorszego sprzymierzeńca. Odwoływanie się do patriotyzmu chłopa, zarzuty robione księżom, w szczególności przez Dobraczyńskiego oraz wyraźna deklaracja, złożona przez Stundzisa, że Pax jest sprzymierzeńcem PZPR, to wszystko potwierdziło raz jeszcze wyraźnie prokomunistyczny charakter ruchu postępowo-społecznego i nową misję Paxu na wsi.

A chyba najgorszą przysługę wyrządził tej misji sam Piasecki swoim przemówieniem w Erfurcie. Obelgi rzucane na państwa zachodnie, z którymi reżym zamierza rozszerzyć wymianę handlową, a w szczególności na Stany Zjednoczone, potwierdziły rolę polskiego faszysty, wysługującego się, za darowanie mu życia, swoim komunistycznym chlebodawcom. Społeczeństwo polskie bowiem dobrze umie ocenić starania reżymowego wicepremiera Jaroszewicza w czasie swojej niedawno wizyty do Stanów Zjednoczonych i jego prośbę o pomoc, głównie w postaci zboża na sumę 100 milionów złotych rocznie i to na okres 3 lat. Chodzi o to by Stany Zjednoczone pokryły deficyt spowodowany na skutek niedotrzymanie przez Sowiety dostaw w zbożu, przyrzeczonych na podstawie zawartych z Gomułką umów. A deficyt jest, jak na polskie warunki olbrzymi. Według oświadczenia ministra rolnictwa Jagielskiego wyniesie on w następnym pięcioleciu 8,5 miliona ton, a na taką właśnie pomoc liczy reżym z imperialistycznej Ameryki.

Można być pewnym, że reakcję chłopów, agenci Piaseckiego niedługo odczują. Chłop polski doświadczył już raz akcji prowadzonej przez 8 lat przez Zambrowskiego i napewno da niedługo właściwą odpowiedź faryzeuszom Piaseckiego, którzy za żołd pobierany z funduszów Paxu chcą — w 1960 r. — uczyć chłopa polskiego patriotyzmu i miłości Ojczyzny.

Wzmacniajcie nerwy i oczyszczajcie krew, a będziecie cieszyć się zdrowie i wzmożoną działalnością do pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych

KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

Laboratoire B. KALEFLUID
FRANCJA
66. Bld. Exelmans, Paris 16-e.

Po trzech sukcesach wydawniczych:

„Baśka i Barbara" — *„Obóz Wszystkich Świętych"* — *„Losy Pasierbów"*

ogłaszamy PRZEDPŁATĘ na nową książkę

Gaëtan Picon

PANORAMA MYŚLI WSPÓŁCZESNEJ

Teksty kluczowe, w których Czytelnik znajdzie esencję ostatnich zdobyczy: filozofii, psychologii, religii, socjologii, problemów i form sztuki, nauk matematycznych i fizycznych, biologii,

To nie jeszcze jedno opracowanie popularne. Myśl współczesna mówi tu sama za siebie głosem najwybitniejszych twórców.

To książka, która pozwoli każdemu zdać sobie lepiej sprawę ze świata, w którym żyjemy.

„PANORAMA MYŚLI WSPÓŁCZESNEJ" jest już w druku i ukaże się w sprzedaży w lecie 1960 roku. Przeszło 600 stron dużego formatu.

DO 1 LIPCA br. wyjątkowa cena w przedpłacie: $4.80 — sh. 30/- — N.FR. 24.00
PO 1 LIPCA br. cena sprzedażna: $6.00 — sh. 36/- — N.FR. 28.00

Zamówienia oraz wpłaty prosimy kierować do:

„LIBELLA"
12, rue Saint-Louis-en-l'Ile — PARIS IV.
lub do najbliższej księgarni polskiej.

WATYKAN O „PAXIE" I BEZBOŻNIKACH

Kotarbiński, Piasecki, Frankowski, Rhode

Jeszcze jeden dowód tego, jak dokładne wiadomości o stanie Kościoła w Polsce ma papieski Sekretariat Stanu znajdujemy w artykule podpisanym F. A. w „Osservatore Romano" z dnia 11-12 lipca. Jest to reakcja na umieszczony w „Tempo" artykuł Vittorio Zingone.

Prof. Alessandrini na wstępie ostrzega przed optymistami, którzy widząc procesję Bożego Ciała lub pielgrzymkę do Częstochowy, wyciągają wniosek, że pomiędzy Kościołem a reżymem komunistycznym w Polsce zapanowało „długie zawieszenie broni". Ci obserwatorzy, ostrzega F. A., widzą tylko powierzchnię sprawy i nie dostrzegają, że reżym zwalcza Kościół z nie mniejszym zapałem niż dawniej, unikając tylko starcia z masą i z zewnętrznymi objawami jej pobożności; a nawet i tej częściowej rezerwy reżym nie zawsze umie dochować. czego przykładem były wypadki w Nowej Hucie.

Reżym stara się szerzyć bezbożnictwo. Toleruje nawet przeciwników oficjalnego bolszewizmu, pomaga im nawet, byle głosili bezbożność. Przykładem takiego uprzywilejowania bezbożnictwa niebolszewickiego jest prof. Tadeusz Kotarbiński, wysunięty na czoło nowej „Polskiej Akademii Nauk", wzniesionej według moskiewskich planów na gruzach Polskiej Akademii Umiejętności.

Zależni od Moskwy administratorzy Polski już w 1956 roku starali się o wywołanie walk wewnątrz Kościoła. Użyto do tego Bolesława Piaseckiego, który dotąd korzysta z dużych „przywilejów fiskalnych", lecz uwikłany w błędne teorie teologiczne, potępione przez kościół, został wyraźnie potępiony. Jest nadal protegowany przez zależny od bolszewizmu reżym, zapewne na rozkaz z Moskwy, dla jakichś przyszłych, bliżej nieokreślonych celów.

Secesję od „Pax'izmu" Piaseckiego stanowi grupa Frankowskiego, również oparta o przywileje fiskalne, lecz starannie unikająca wszelkich wypowiedzi teoretycznych, deklarująca natomiast swoją „lojalność" czyli bezwzględne oddanie narzuconemu przez bolszewików reżymowi — i sprzeczną z tym stanowiskiem „uległość wobec hierarchii katolickiej". Hierarchia ta jednak traktuje ze zrozumiałą nieufnością „sługę dwóch panów".

W końcu artykułu F. A. wspomina ks. Maksymiliana Rhode, którego ambicja pchnęła do szukania święceń biskupich w oddartym od Kościoła — Utrechcie. Ogłasza on siebie głową „Kościoła Narodowego Polskiego". Tu autor artykułu podkreśla analogię pomiędzy postępowaniem obecnych władców Polski, a polityką Hitlera, który jeszcze w 1935 roku próbował, przy pomocy fałszywego biskupa Kreuzera. tworzyć „Kościół katolicki narodowy niemiecki". Obecna próba ks. Rhode jest skazana na takie samo niepowodzenie.

Zasługuje na szczególną uwagę, że rzecznik Sekretariatu Stanu wymienia jednym tchem akcję bezbożniczą prof. Kotarbińskiego, paxizm Piaseckiego. dwustronność Frankowskiego i schizmę Rhodego. Różnią się one między sobą — lecz są wszystkie połączone w walce. Są różnymi kolumnami maszerującymi pod rozkazami Moskwy przeciwko Kościołowi katolickiemu w Polsce.

Stolica Apostolska wie o ich działalności i przypomina o niej wiernym całego świata.

(Ser. Inf.)

STEFAN MĘKARSKI

GOMUŁKA POD GRUNWALDEM

GOMUŁCE, gdy przybył nad jezioro Mielno, harcerze zawiązali chustkę harcerską na szyi, a dziewczęta z ZMS-u ofiarowały mu kapelusz słomkowy dla wnuczka. Poczym członkowie tych organizacji ślubowali, że będą służyli partii i pod jej kierownictwem zbudują w Polsce socjalizm. Następnie defilowali przed sekretarzem PZPR słowiańscy rycerze i woje Chrobrego, Krzywoustego i Jagiełły z emblematem orła piastowskiego w koronie.

Tak zaczęły się uroczystości rocznicowe na polach Grunwaldu w dniu 16 lipca br.

Poprzedzone zostały akademią w Moskwie w dniu 15 lipca, zorganizowaną przez Komitet Słowiański ZSRR. W akademii tej uczestniczyło kilkudziesięciu marszałków, generałów i wyższych oficerów sowieckich oraz aktywistów „Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej". Nutą przewodnią przemówienia marsz. Koniewa było podkreślenie faktu, że zwycięstwo grunwaldzkie było „dziełem narodów słowiańskich i nadbałtyckich", „pozostając na zawsze symbolem jedności tych narodów". Zasadniczy referat o Grunwaldzie wygłosił prezes Komitetu Słowiańskiego gen. A. Gundorow, aby stwierdzić, „że źródłem zwycięstwa narodów słowiańskich i nadbałtyckich była ich wspólnota".

Ten leitmotyw moskiewski: Grunwald jako dzieło Słowiańszczyzny, pomnożonej przez Bałtów i Grunwald jako symbol jedności Słowian powtarzał się następnie bardzo konsekwentnie (również i werbalnie) we wszystkich wystąpieniach rocznicowych w Polsce, organizowanych przez komunistów. Wystrzegano się pedantycznie, aby przypadkiem nie przypisać wiktorii grunwaldzkiej samej Polsce. „Trybuna Ludu" w rocznicowych uwagach podkreśla zaraz na wstępie, że zwycięstwo odniesione zostało „wspólnie siłami wojsk polskich, litewskich, ruskich, rosyjskich i czeskich". Podobnie napisał prof. K. Lepszy w „Życiu Literackim": „Grunwald zawdzięczamy zgodności całej Słowiańszczyzny, zwycięstwu idei postępowej" (sic!). Gomułka mówił o zwycięstwie zjednoczonych sił polskich i Litwy, „wspieranych przez całą Słowiańszczyznę", Zawadzki nie miał wątpliwości, że „narody Związku Radzieckiego wsparły przed 550 laty skutecznie oręż Polski", a wysłannik Chruszczowa, przewodniczący Najwyższego Sowietu p. Nikołaj Organow wyliczał na polach grunwaldzkich szczegółowo, kto zwyciężył w 1410 roku: „pułki polskie, czeskie, rosyjskie, litewskie, białoruskie i ukraińskie".

Silniej jeszcze akcentowano na polach grunwaldzkich drugą wersję moskiewskiej reżyserii: o Grunwaldzie jako symbolu jedności słowiańskiej, ważnym również w chwili obecnej, z tym, że jedność tę mają powiększyć i niesłowiańscy satelici (podobnie jak Bałtowie w 15-tym wieku) plus Mongolia i Chiny, o które szczególnie dopominał się w swym przemówieniu pod Grunwaldem p. Zawadzki. W ogóle Mongolię i Tatarszczyznę, jako wzorcowe ideały taktyki w bitwie grunwaldzkiej wymieniano systematycznie w komentarzach rocznicowych. Zastosowanie „elementów taktyki wschodniej pod Grunwaldem przyniosło wiekopomny sukces" — pisał komunistyczny „Żołnierz Polski" — m.in. fakt, że „wzorem wodzów mongolskich Jagiełło nie brał czynnego udziału w bitwie". Jagiełło walczył z Zakonem jako awangarda Wschodniej Europy — oto, czego dowiadywał się na polach Grunwaldu 200-tysięczny „tłum" (określenie „Trybuny Ludu") od mówców partyjnych.

W samej rzeczy jednak nie o Grunwald i o uczczenie jego rocznicy chodziło komunistom. Więcej należy powiedzieć: nawet niebezpieczeństwo bońskie, które polityka kanclerza Adenauera rzeczywiście ożywia, schodziło na drugi plan wobec celu głównego, którym była monstre-propaganda na rzecz przewodnictwa Związku Sowieckiego w „obozie socjalistycznym", na rzecz PZPR oraz na rzecz organizowania „świadomości socjalistycznej" zebranych na polu grunwaldzkim 30 tysięcy członków ZMS, ZMW, ZSP i ZHP, jako przyszłej kadry partyjnej. W przemówieniach Gomułki, Zawadzkiego czy Organowa Grunwald, „ten Stalingrad 15-go wieku" był tylko ekspozycją tematyczną, którą mówcy spiesznie porzucali, aby cały swój talent i wysiłek poświęcać opiewaniu Zw. Sow. „pierwszego w historii ludzkości państwa, którego narody kroczą już zwycięsko po drodze budownictwa komunizmu" (Gomułka); Związku Sowieckiego, którego „rewolucja przyniosła Polsce wyzwolenie narodowe" (Zawadzki). Rocznica Grunwaldu i historyczne pobojowisko stały się w rozumieniu komunistów okazją i płaszczyzną do wiązania wyobraźni młodzieży z wizją przewodnictwa politycznego i organizacyjnego Moskwy w obecnym okresie historycznym. Z tą wizją winna być — zdaniem Gomułki pod Grunwaldem — związana „żarliwość i najwyższe napięcie woli, uczuć i wysiłków kochanej młodzieży i młodych przyjaciół" partii. Z tą wizją łączyć się ma w świadomości współczesnego pokolenia młodzieży w Polsce nienawiść do pamięci „polskich rządów burżuazyjnych", których „zgubna, egoistyczna polityka sprawiła, że odzyskana niepodległość nie trwała długo".

Przedstawiciel Najwyższego Sowietu p. Organow przemawiając pod Grunwaldem poszedł jeszcze dalej. Mówiąc o Grunwaldzie jako „o naszej wspólnej chwale bojowej", Organow powtarzał zapewnienie, że Moskwa dlatego będzie broniła zachodniej granicy polskiej, gdyż granica ta jest „granicą Związku Radzieckiego". P. Organow większość swego grunwaldzkiego przemówienia wobec 200 tysięcy słuchaczy poświęcił przede wszystkim namiętnym atakom na Stany Zjednoczone. „Obecnie wszyscy wiedzą, że Związek Radziecki i pozostałe kraje obozu socjalistycznego — mówił moskiewski podżegacz wojenny — dysponują wszelkimi środkami niezbędnymi, ażeby przywołać do porządku rozzuchwalonych prowokatorów nowej wojny".

W ten sposób rocznica grunwaldzka stała się jaskrawym przykładem tej szkoły myślenia, która wyzyskuje historię do uzasadnienia celów bieżącej polityki, w danym przypadku polityki sowiecko-rosyjskiego imperializmu i przykutych doń służebnie satelitów. Ta szkoła myślenia każe oficjalnym „Nowym Drogom" głosić, że „zwycięstwo zjednoczonych sił słowiańskich z Armią Radziecką na czele stało się niejako powtórzeniem zwycięstwa grunwaldzkiego, tym razem nad Odrą, Nysą i Szprewą". W duchu tej samej szkoły publicysta komunistyczny L. Bartelski pisze w „Nowej Kulturze", że „przesunięcie punktu ciężkości kraju ze wschodu na zachód dało Polsce równowagę polityczną, jakiej nie mieliśmy od wieków". Jest to — według Bartelskiego — „lekcja Grunwaldu". W reżymowo-katolickim „Słowie Powszechnym" spotykamy się znowuż ze skrajnie serwilistycznym rzecznictwem cytowanej wyżej szkoły myślenia. Oto — pisze p. W. J. Grabski w art. pt. „Memento Grunwaldu" — mamy za co szanować naszego sojusznika grunwaldzkiego ze wschodu; szczęśliwie, jeśli można takiemu sąsiadowi nie zazdrościć, ale na jego potędze opierać swoje bezpieczeństwo; wzajemność rodzi wdzięczność, a na niej dopiero zakorzenia się prawdziwa przyjaźń. Innymi słowy, Rosja odwdzięcza się dziś ... zwasalizowaniem Polski za dług, jaki zaciągnęła wobec niej w 1410 roku, gdy Jagiełło ocalił Moskwę przed agresją Krzyżaków...

Wzięte w pacht przez PZPR rocznicowe uroczystości nie skupiły społeczeństwa, bo pod hasłem ideowo-politycznych, które Gomułka na polach Grunwaldu głosił, Polacy zjednoczyć się nie mogą. W obszernej literaturze komunistycznej dotyczącej Grunwaldu nie można spotkać ani jednego głosu, który by wskazywał, że zwycięstwo polskie w 1410 r. kładło fundamenty pod mocarstwowość Rzeczypospolitej, że przyczyniło się kapitalnie do wzmocnienia tendencji unijnych wśród społeczeństw ościennych, itp.

Takich głosów nie było. W związku z tym godzi się zwrócić uwagę na artykuł „ Tygodnika Powszechnego" (nr. 30 z 24. 7. br.) ogłoszony z racji innej rocznicy, tzw. manifestu lubelskich komunistów (22. 7. 1944). Czytamy w nim: „Na wzburzonym tle sytuacji międzynarodowej i nasze wewnętrzne sprawy nie zawsze układają się gładko. Wiemy wszyscy, jak wielkiego potrzeba wysiłku, aby przezwyciężać trudności gospodarcze, jak wielkiej cierpliwości, spokoju i dobrej woli, aby rozplątywać problemy ideologiczne... Tempo przemian, ich sensowność, owocność, trwałość zależą — powtarzamy to do znudzenia — od włączenia społeczeństwa w ich bieg. Problem jest dwustronny: społeczeństwo nie tylko winno rozumieć, lecz winno również być rozumiane. Winno zostać ufnie obarczone odpowiedzialnością, z którą w parze idą uprawnienia"...

Na polach Grunwaldu Gomułka nie okazał ani najmniejszej skłonności „zrozumienia społeczeństwa", ani gotowości „ufnego obarczenia go odpowiedzialnością", z którą połączone są prawa obywatelskie, ani też nie kwapił się do „rozplątywania problemów ideologicznych". Przeciwnie, nigdy bodaj silniej, aniżeli pod Grunwaldem w lipcu br. nie zabrzmiał głos partyjny na rzecz totalnego monopolu PZPR w rządach Polską dziś i w przyszłości.

Ten monopol zapewnia Gomułce — „naszemu wielkiemu przyjacielowi" według określenia Organowa — Rosja Sowiecka, która, gdy jej to potrzebne, wydobywa z lamusa doszczętnie skompromitowane hasło słowianofilizmu i lansuje je ustami — odkomenderowanego do tych spraw — gen. Gondurowa. Szyld jest nowy, ale w istocie i ten słowianofilizm w wydaniu marksistowsko-leninowskim pełen jest ducha Pogodinów i Samarinów sprzed 100 laty, gdy ustami przedstawiciela Związku Sowieckiego głosił na kongresie wszechsłowiańskim w 1945 r.: „Narody słowiańskie rozumieją dziś prawdę słów prof. Iłowajewskiego i prof. Pypina, że Rosja jest największym skarbem dla samego bytu Słowian".

Gomułka i jego towarzysze słowiańscy z Czech i Bułgarii składali pod Grunwaldem w 1960 roku hołd lenników „skarbowi" i „piastunowi najwyższych ideałów międzynarodowego humanizmu"...

MIĘDZY PLOTKĄ I ANEGDOTĄ

Tyle się na świecie dzieje istotnie ważnego, że puszczamy mimo uszu wiadomości o wydarzeniach, które ćwierć wieku temu uchodziły by za nielada sensację.

Znamieniem chwili obecnej nie jest „postęp" jak deklamują niektórzy, ani też „ogólny upadek kultury" jak twierdzą inni, lecz powszechna panika.

Paniki nie leczymy, lecz przymykając oczy na jej przyczyny, próbujemy zaleczyć jej objawy. W życiu codziennym zażywamy proszek nasenny byle „przespać do jutra", w polityce międzynarodowej częstujemy się nawzajem „współistnieniem", by przedłużyć sobie spokój, który zwiemy „pokojem".

„Solitudinem faciunt et pacem apellant" mówił Tacyt o starożytnych barbarzyńcach. „Spustoszenie czynią i zwą je pokojem".

Napis ten powinien zdobić sale posiedzeń ONZ, Rady „Bezpieczeństwa" i wszelkich innych „szczytów", by ludzie wiedzieli, że nie ma większego spustoszenia (nawet gdyby go zwać pokojem) niż paraliż woli wyrastający z paniki.

A po nas choćby potop...

Co jednak jest w historii „istotnie ważne" a co nie jest? Czy ważniejszym dla przyszłości świata będzie powstanie niepodległych państw afrykańskich, czy też jeszcze jedna nota sowiecka w sprawie Berlina?

Niestety wiedzieć co było ważniejsze będą dopiero następne pokolenia. My możemy tylko przeczuwać, względnie wnioskować. Im przeczucie nasze lub wniosek będą trafniejsze tym lepiej o nas mówić będą pokolenia przyszłe. Mądrość polega na umiejętności przewidywania, uczciwość na działaniu, które chce przynieść korzyść tym, którzy nadejdą po nas. Egoizm obliczony na ciąg własnego życia jest największym przestępstwem historycznym.

„Apres nous même le deluge" — miał powiedzieć Ludwik XV. Wątpię by to powiedział, lecz słowa te służą jako symbol potępienia ludzi małych duchem, którzy własny koniec utożsamiają z końcem świata.

Pani Banderanayke i św. Anna

Kobiet panujących nie brak w historii. Dziwnie się składa, że większość zapisała się dobrze w pamięci swoich narodów i krajów. Jeśli były złe królowe i złe cesarzowe (była napewno zła caryca choć nie była zła dla Rosji) nie było niedołężnych. Naogół okresy panowania kobiet liczą się do najszczęśliwszych. Przypomnijmy sobie Elżbietę i Wiktorię w Anglii i naszą Jadwigę.

Fakt tym bardziej godny uwagi, że kobiety panowały zwykle „walkowerem" tj. z braku męskiego przedstawiciela dynastii.

Pani Banderanayke została pierwszym premierem płci pięknej. Nie odziedziczyła zatem urzędu, nie objęła go przypadkiem, lecz wybrano ją w głosowaniu powszechnym i, jak twierdzą wszyscy obserwatorzy, całkowicie uczciwym i demokratycznym.

Jakie będą jej rządy nie wiemy. Cejlończycy mogą się jednak cieszyć, że obiecuje rządzić w oparciu o rozsądek. Bardzo zdrowe postanowienie. Choć jest buddystką podobnie jak większość Cejlończyków, liczni na tej pięknej wyspie katolicy mogą w jej wyborze widzieć interwencję św. Anny, która jest patronką Cejlonu.

Pennsylvania Station i Łaźnie Caracalli

Ogromny dworzec nowojorski, modernizowany kilkakrotnie przypomina inne wielkie dworce kolejowe z tą wszekże różnicą, że jego założenia architektoniczne są kombinacją dość dziwaczną.

Przyczynę można wyszukać w przypruszonych pyłem archiwach. Gdy postanowiono wybudować dworzec pensylwański, wysłano do Europy specjalną komisję architektów z zadaniem znalezienia najlepszego wzoru. Komisja orzekła, że w jej mniemaniu, najdoskonalszym budynkiem w Europie są Łaźnie Caracalii w Rzymie. Orzeczenie to przyjęto do wiadomości i kazano je uwzględnić w projektach budowy.

Zmiana statutu Trustu wydawniczego

Londyński „Observer" najpoważniejsza angielska gazeta niedzielna, które to określenie niekoniecznie pokrywa się z naszym pojęciem „tygodnik" ma tyle samo zwolenników co wrogów. Z tym wszakże, że czytają je namiętnie i jedni i drudzy. Pod względem fachowym jest pismem bez zarzutu, pod względem kierunku politycznego i ideologicznego nie odpowiada zapewne większości Anglików i wszystkim chyba cudzoziemcom. Łączy bowiem misternie konserwatyzm z liberalizmem, z czego powstaje często mieszanka o zabarwieniu lekko różowym.

Niemniej ma odwagę głoszenia własnych poglądów.

Z tym wszystkim powszechną była opinia, że „Observer" z zasady nie lubi Żydów i katolików. Prasa wieczorna koncernu Beavebrooka wytykała mu to hałaśliwie i konsekwentnie. „Observer" nie taił, że jest pismem „protestanckim" w tym znaczeniu, iż statut jego pozwala by w zarządzie i w redakcji zasiadali tylko protestanci, w praktyce anglikani.

Postanowienie to zmieniono przed dwoma tygodniami. Zlikwidowano ograniczenie wyznaniowe. Zniesienie statutowego anachronizmu nie będzie miało zapewne żadnego znaczenia praktycznego gdy chodzi o tzw. „linię" pisma.

Dalsze losy Ewy co to chciała spać

Reżyser i eksperymentator francuski nazwiskiem Menegoz skrzywdził bardzo Basię Kwiatkowską, którą pamiętamy z filmu „Ewa chce spać". Jak pisałem w plotkach w maju, dał jej ważną rolę w swym filmie „Tysięczne Okno". Film nie spotkał się z uznaniem. Na festiwalu w Cannes było o nim głucho.

Basia-Ewa poduczyła się co prawda dobrze po francusku, lecz na tym jej sukces się skończył. Najlepszą aktorkę bowiem „położyć" może zły reżyser i nędzny scenariusz.

Nie zniszczy jednak jej talentu i osobistego uroku.

Bo oto nagle spośród 500 kandydatek wybiera ją reżyser René Clement do roli w swym nowym filmie, który się nakręca w Rzymie i zapowiada się bardzo ciekawie. Partnerem Basi będzie Alain Delon. Okoliczności towarzyszące zaangażowaniu Basi na długi, i powiedzmy szczerze choć bez szczegółów (by nie robić nikomu oskomy) intratny kontrakt, były tak ciekawe, że nawet poważny „Figaro" paryski poświęcił jej duże omówienie z ogromnymi fotografiami Basi. Zdaje się, że kariera jest tym razem zapewniona, a na film musimy trochę poczekać.

Canossa Randolfa Churchilla

Po ojcu, wielkim Churchillu, odziedziczył syn jego Randolf zamiłowanie do dziennikarki, donośny głos i wcale pokaźną tuszę. Podobno także szczery i przyjazny stosunek do alkoholu. Nie odziedziczył niestety znajomości historii. Co prawda ozdabia gęsto swe reportarze przykładami historycznymi i czyni to z prawdziwym rozmachem, lecz niestety nie martwi się zbytnio o ścisłość faktologiczną.

„Majstersztykiem" dziennikarskim jest przyrównywanie Nixona do Fryderyka Barbarossy a jego porozumienie z Rockefellerem z pójściem do Canossy, co Randolf wywiódł misternie w nrze 31 lipca „News of the World". Jest jednak maleńkie „ale". Barbarossa nie korzył się przed Grzegorzem VII w Canossie i to „ w wieku XII", gdyż uczynił to już Henryk IV w wieku poprzednim.

Z lipca w sierpień

Nie udał się lipiec, tradycyjny w Europie miesiąc wakacyjny. Od Norwegii, przez Polskę, plaże Ostendy, Bretanię, Szwajcarię i Austrię aż po Costa Brava, Zatokę Biskajską i obie riviery, francuską i włoską, lało, mżyło i wiało. Dopiero gdzieś na południe od Rzymu zaczynała się przyzwoita pogoda.

Jak co roku, gazety i radio nawoływały do zastanowienia się i zerwania z tradycją lipcowych urlopów. Podobno lepiej jest zawsze w czerwcu i w sierpniu, a najlepiej we wrześniu. Sęk w tym, że nie ma reguł na pogodę, są natomiast terminy wyjazdu połączone z podziałem urlopów między wszystkich pracowników w fabryce czy w biurze. Najważniejszą zaś jest szkoła, która wakacje daje dzieciom na lipiec i na sierpień a nigdy na czerwiec i wrzesień.

W związku z tym skończyć się musi na wyrzekaniu tych co z urlopu już wrócili i na nadziejach tych co dopiero mają jechać. Na pociechę pierwszej kategorii można stwierdzić, że i sierpień jak dotychczas niczym się szczególnie przyjemnym nie oznaczył.

Ale pogoda to już tylko dodatkowy rekwizyt urlopowy. Bez względu na jej stan, miliony ludzi wsiada w samolot, w samochód, lub niemodnie do pociągu i podąża tam gdzie ich jeszcze nie było, lub, najczęściej, tam gdzie byli już wiele razy. Urlop bowiem to nie tylko wypoczynek, lecz także obrząd, misterium nowoczesnego społeczeństwa, któremu należy się oddać nawet wtedy gdy się nie ma ochoty.

J. P. H.

ALEKSANDER STAMBROWSKI

POD CAŁUNEM FRAZESÓW

PO PRZYBYCIU w 1942 r. na Środkowy Wschód zauważyłem, że jeden z oficerów posiada przywieziony z Rosji gruby podręcznik taktyki artyleryjskiej. Zdziwiło mnie, że prawie na każdej stronie jest mowa o Stalinie i dość dużo o innych prorokach komunizmu. Zapytałem więc naiwnie posiadacza podręcznika czy Stalin jest artylerzystą. Stalin oczywiście nie był artylerzystą, tak jak nie był znawcą języków. Podręcznik był jednak dobry i napisany fachowo. Gdyby nie było w nim treści talmudycznej, czyli powoływania się na Stalina, miałby tę zaletę, że byłby krótki i treściwy.

Przed kilku laty nastąpił w Polsce zwrot ku pisaniu książek naukowych na temat i rzeczowo. Mniej jest w nich „drętwej mowy".

Ten stan rzeczy bardzo niepokoi ortodoksyjnych wyznawców marksizmu. Trzeba pamiętać, że marksizm komunistyczny jest religią bardzo młodą i niedojrzałą. Stąd jego nietolerancyjność i fanatyzm oraz usiłowanie szerzenia i propagowania go przy każdej okazji, nawet w naszym pojęciu sposobami i środkami najbardziej niestosownymi lub wręcz groteskowymi i komicznymi.

Nic więc w tym dziwnego, że zaślepiony w swej fanatycznej dewocji marksista-bigot Adam Schaff napisał w **„Przeglądzie Kulturalnym"** tak entuzjastycznie o książce Oskara Langego pt. „Ekonomia Polityczna", w związku z tym, że autor przywrócił w swej książce kult Stalina obok innych „proroków" „Za jedną rzecz", pisze Schaff, „jestem tu autorowi wdzięczny — za Stalina, za wydobycie tego co jest wyraźnym wkładem Stalina do omawianych w pracy zagadnień... Stalin — cokolwiek by mu się zarzucało — był i pozostanie wielkim politykiem i wielkim teoretykiem. Nie ma powodów i nie należy tego zamazywać i przemilczać..."

W istocie w pierwszym tomie książki Langego nie ma ani jednej poważniejszej tezy ekonomicznej Stalina. Wszystkie cytaty z książek i wypowiedzi Stalina są o charakterze propagandowym i „talmudycznym". Cokolwiek i kiedykolwiek Stalin mówił lub pisał o ekonomii w ścisłym tego słowa znaczeniu autor całkowicie pominął. Przez przywrócenie jednak kultu Stalina udało mu się zamaskować istotne jego myśli i tendencje. Wskutek tego cenzor nie dostrzegł w książce „herezji" o istnieniu sprzeczności w społeczeństwie „socjalistycznym" i tego że Lange jest czołowym rewizjonistą, propagującym zastosowanie w Polsce kapitalistycznych metod produkcji.*) Obecnie okazuje się, że nie tylko cenzor został wyprowadzony w pole. Do takiego stopnia żarliwa bigoteria i fanatyczna dewocja przytępiają umysły ludzkie.

Metoda pisania książki zastosowana przez Langego nie jest nowa w państwach policyjnych, gdzie często niezbyt inteligentny cenzor-policjant decyduje bezapelacyjnie co może być wydrukowane. Przed rewolucją w Rosji gdy krytykowano carską tyranię pisano o chińskich mandarynach, rzymskich dyktatorach itp. Może „Quo Vadis" Sienkiewicza było napisane pod tym kątem widzenia. Największą trudność sprawiały i sprawiają cenzorom książki o treści naukowej i pseudo-naukowej, której z reguły nie rozumieją i boją się do tego przyznać. Zależnie od cenzora ma to stronę ujemną lub dodatnią. Ujemną gdy cenzor w obawie ujawnienia swego nieuctwa nie pozwala wydrukować książki nawet o niewinnej treści. Dodatnią gdy z tych samych względów inny cenzor przepuszcza przez cenzurę książki szkodliwe dla państwa policyjnego. (Dodatnie lub ujemne z punktu widzenia dobra nauki, a nie państwa policyjnego). Przykładem tego może być przepuszczenie przez carską cenzurę tłumaczeń na język rosyjski wszystkich książek Marxa i Engelsa, gdyż po prostu ich nie rozumiała.

Obecnie w Sowietach pisarze zaczęli stosować podobną metodę. Na mistrza w tej dziedzinie jest uważany przez zachodnio-europejskich krytyków literackich autor znanej książki pt. „Nie tylko chlebem się żyje" — Dudincew. Metodę tę Dudincew ulepszył do tego stopnia, że w późniejszych książkach pomimo bardziej przenikliwej krytyki istniejącego stanu rzeczy w Rosji, cenzorzy nie mogli jej dostrzec. Pasternak nie chciał stosować takiego kamuflażu i to go zgubiło.

Jedno jest tylko niepokojące, że władze komunistyczne zaczynają się orientować w destrukcyjnej robocie inteligencji, zwłaszcza że dobrze wiedzą, iż inteligencja carska głównie przyczyniła się do przewrotu bolszewickiego w 1917 r. Stąd pochodzi zauważona ostatnio w Sowietach nieufność sfer rządzących do nowej sowieckiej inteligencji. Nieufność ta może być powodem zahamowania wszelkiej twórczości literackiej i naukowej (z wyjątkiem nauk technicznych) przez zbyt ostrożnych i nie bardzo orientujących w treści poddanych ich ocenie książek — cenzorów.

Ten stan rzeczy zagraża również Polsce.

*) **Patrz mój artykuł w „Orle Białym" z dnia 14-21 kwietnia br. pt. „Ekonomia Polityczna Oskara Langego".**

HARCERSTWO KUŹNIĄ CHARAKTERU

(Dokończenie ze str. 1)

harcerze, gdyż dla nich nagrodą za pracę nad pielęgnowaniem kultury polskiej, za osiągnięcie sprawności sportowej, utrzymanie zdrowia moralnego i fizycznego, za rzetelność w pracy zawodowej i za śmierć na polu walki — jest przede wszystkim wyrok własnego sumienia. Harcerze przyrzekają bowiem służbę Bogu, Polsce i Bliźniemu pełnić „całym życiem".

●

Polaków w W. Brytanii jest około 150 tysięcy. Przyrost naturalny w latach powojennych wyraża się imponującymi liczbami. Operujemy nimi nieraz mówiąc o frekwencji szkół polskich, zwłaszcza tych sobotnich i niedzielnych. Niemniej zaskoczeniem była ilość ponad 900 harcerek, harcerzy i małych zuchów, którzy powitali gości w swym obozie złotowym, defilując przed generałem Andersem. Z. H. P. ma w W. Brytanii około 4,000 członków a ogółem poza granicami Kraju jest ich 12 tysięcy.

●

W dniu wizyty generała Andersa na Zlot zjechało się ponad trzy tysiące rodziców, przyjaciół i ciekawych. Piękny program uroczystości i pokazów, których nie będziemy dziś opisywać, stworzył tego dnia, prawdziwie triumfalną atmosferę wielkiego święta rodzinnego i narodowego. Na prośby harcerzy i gości, generał Anders przemówił krótko. Ze wzruszeniem wspominał pierwsze początki organizowania harcerstwa wśród młodzieży, która towarzyszyła wojsku polskiemu gdy pod jego dowództwem opuszczało „raj sowiecki". Mówił o idei harcerstwa, o jego zasługach i obowiązkach, które nakłada na tych co się związali przyrzeczeniem harcerskim.

I mówił jak ogromnej potrzeba wiary i nadziei, by obowiązkom podołać, jak wielkiej pogody ducha, by najcięższa służba zamiast goryczy i znudzenia dawała radość i zadowolenie. Czasy, w których żyjemy, czasy groźne, czasy złe, wymagają większej mocy charakteru, niż szczęśliwe lata harcerstwa w okresie dwudziestolecia niepodległości. Tę moc charakteru wykazać będą musieli harcerze i harcerki i najmłodsza gromada zuchowa. W służbie Bogu i Ojczyźnie ważne jest zdrowie i sprawność i ważną jest nauka. Najważniejszym wszakże jest charakter. On bowiem pozwala z ufnością patrzeć w przyszłość i krzewić w sercu wiarę, że ostateczne zwycięstwo odniesie dobro nad złem, że należeć ono będzie do tych ludzi, którzy są uczciwi w swych przekonaniach i uczciwi w postępowaniu.

●

Namioty w zagajnikach parku Lilford, bramy puszczańskie z nazwami hufców harcerzy i harcerek: „Białowieża", „Szczecin", „Tatry", „Gdynia", „Warszawa" i inne, a wśród nich raźny, zdrowy i przede wszystkim wesoły tłum młodzieży — to jak ognisko z którego na naszą przyszłość padają iskry wiary i nadziei.

P. Z.

KAZIMIERZ GLABISZ

ZNAMIENNY WYWIAD

W ZNANYM tygodniku amerykańskim *„U. S. News and World Report"* pojawił się 18 lipca niezmiernie ciekawy i znamienny wywiad grona redaktorów z szefem sztabu lotnictwa amerykańskiego, gen. White, składający się z odpowiedzi na dziesiątki dociekliwych pytań.

Na wstępie gen. White zgodził się „do pewnego stopnia" z założeniem interlokutora, że okres 1961—1963 będzie dla Ameryki okresem niebezpiecznym. Przede wszystkim dlatego, że w tym okresie nie będzie ona jeszcze dysponować ani gotowym systemem BMEWS, sygnalizującym dostatecznie wcześnie nadlatywanie sowieckich rakiet, ani też skutecznymi rakietami przeciwrakietowymi, zaś sam wywiad, choć dość dobry, nie mógłby przed nowym „Pearl Harbor" zabezpieczyć. Narazie Sowiety nie posiadają dostatecznej ilości transkontynentalnych rakiet, lecz po zwiększeniu ich zapasu sytuacja może stać się drażliwa, bo jedynym, zresztą tylko pośrednim, zabezpieczeniem będą amerykańskie możliwości odwetowe, a nie wiadomo, czy Moskwa nie zlekceważy ich skuteczności. Dopiero wybudowanie systemu BMEWS zagwarantuje owych 15 do 20 minut uprzedzenia, wystarczających, by prócz rakiet międzykontynentalnych 1/3 część lotnictwa strategicznego wystartowała do odwetowych lotów, zanim by rakiety sowieckie nadleciały.

Gen. W. oczywiście nie wie względnie nie powiedział ile Sowiety posiadają i produkują pocisków międzykontynentalnych. Wyraził jedynie pogląd, że mogą mieć za kilka lat co najmniej tyle, ile ma mieć Ameryka.

Konkretniej wypowiedział się na temat ilości i jakości bombowców sowieckich, twierdząc, że Sowiety mają około 1.200 bombowców, które mogłyby być użyte przeciw Ameryce, w tym od 100 do 200 ciężkich, zbliżonych do B-52, i że przygotowują zarówno kilka typów nowocześniejszych jak i aerodynamiczne pociski lotnicze w rodzaju amerykańskich *„Hound Dog"*. Nie przygotowują natomiast ani dalekosiężnych rakiet lotniczych typu *„Skybolt"*, ani bombowców mogących się równać z B-70. Niemniej, zdaniem gen. W., potrzebne będą Ameryce samoloty intercepcyjne o dużym zasięgu, podobne do zarzuconych F-108.

Istnieją szanse przedostania się części bombowców sowieckich nad amerykańskie cele, są jednak daleko mniejsze niż bombowców amerykańskich, bo 1) amerykańska obrona plot. jest lepsza, 2) bombowce sowieckie nie mogą, jak amerykańskie, z różnych stron nadlatywać i nie posiadają dywersyjnych samolotów „Quail", utrudniających pracę nieprzyjacielskiemu radarowi. Szanse te wzrosną jeszcze bardziej, gdy lotnictwo amerykańskie otrzyma większą ilość bombowców B-70, mających mieć fantastyczną szybkość i pułap przekraczający 70.000 stóp. Bombowce te będą niezbędne nawet po wprowadzeniu dalekosiężnych rakiet lotniczych „Skybolt", bo rakiety nie mogą wykonać wszystkich zadań, nie mogą być odwołane i nie mogą zbombardować kilku celów. Niestety, bombowce te mogą być operacyjne, w najlepszym razie dopiero 1965/66 bo narazie nie przewiduje się jeszcze ich seryjnej produkcji. Gen. W. uznaje zapewnienie ich rychłej produkcji seryjnej za postulat pierwszej pilności. Przypomina jednak, że przedstawiciele innych części sił zbrojnych wysuwają również postulaty „pierwszej pilności" i że nawet Ameryka nie może sobie pozwolić na równoczesne sfinansowanie wszystkich postulatów. Oczywiście, zdaniem gen. W., kredyty dla lotnictwa powinny być zwiększone mogłyby być racjonalnie wykorzystane nawet, gdyby to zwiększenie sięgało 10 miliardów.

Zapytany na temat możliwości i skuteczności odwetu, gen. W. przyznał, że nie wszystkie lotniska i wyrzutnie sowieckie są dokładnie umiejscowione i rozpoznane oraz, że trudności będą wzrastać w miarę ich rozpraszania i chowania pod ziemię. Tym więcej, że nie wszystkie rakiety i pociski mogą być w stosunku do wszystkich celów dostatecznie skuteczne. Skuteczność w stosunku do małych i „twardych" celów zależy bowiem nie tylko od precyzji, ale także od wielkości głowicy atomowej. Skierowanie odwetu na wielkie miasta zapewniałoby wprawdzie duże skutki, jednak gen. W. jest temu przeciwny z różnych względów.

Na pytanie, ile operacyjnych rakiet międzykontynentalnych Ameryka posiada, gen. W. dał oczywiście wymijającą odpowiedź, zapewniając jedynie, że od wiosny sytuacja się poprawiła zarówno pod względem zapasu rakiet jak i stanu wyrzutni.

Warto również przytoczyć, że poważne znaczenie przypisuje on różnym próbom wykorzystania jonosfery dla celów militarnych, że jest zwolennikiem jedynie takich projektów, których nie można zastąpić w tańszy i nie mniej skuteczny sposób rozwiązaniami ograniczonymi do ziemi i stratosfery. Szczególnie duże nadzieje wiąże z satelitami obserwacyjnymi typu „Samos" i satelitami alarmującymi typu „Midas", które mają sygnalizować każdą rakietę wzbijającą się w stratosferę. Przypisuje również pewne znaczenie wojskowe satelitom meteorologicznym typu „Tiros" i wskaźnikowym typu „Transit", umożliwiającym okrętom, statkom czy samolotom dokładne określenie ich pozycji. Wierzy ponadto, że kiedyś zostaną wprowadzone w jonosferę latające platformy i że jeszcze za jego życia człowiek wyląduje na księżycu.

Na ogólne pytanie, czy przewaga jest jeszcze po stronie wolnego świata gen. W. oświadczył, że tak, że jednak w ostatnim czasie przewaga ta się zmniejszyła i że stosunek sił za 3 lub 4 lata zależeć będzie przede wszystkim od tego, co Ameryka do tego czasu zrobi. Z drugiej strony przyznał, że postępy bloku komunistycznego mogą być nadal pod niejednym względem większe, bo ich system totalitarny umożliwia przeznaczanie większego procentu produkcji na zbrojenia, bezwzględniejsze koncentrowanie wysiłku i lepsze ochranianie tajemnic. Toteż, jego zdaniem, pewne jest jedynie, że nadal utrzyma się ogromna przewaga Ameryki na morzach, bo Sowiety nie tylko nie mają, ale nawet jeszcze nie budują lotniskowców, superlotniskowców i olbrzymich okrętów podwodnych, wyposażonych w napęd atomowy i dalekosiężne rakiety typu „Polaris", wyrzucane z zanurzenia.

Nie wolno natomiast lekceważyć osiągnięć sowieckich w dziedzinie broni atomowych i wodorowych oraz w dziedzinie rakiet. Przypomniał, że Sowiety jako pierwsze wprowadziły satelitę w orbitę ziemi oraz księżyca i ziemi, że mają narazie potężniejsze środki napędowe i że wobec tego, mogą wyrzucać cięższe pociski o większych głowicach atomowych czy wodorowych. Na temat precyzji rakiet sowieckich nie wypowiedział się w ogóle. Natomiast wyraził pogląd, że Sowiety nie zaniedbały małych, taktycznych broni atomowych i że, aczkolwiek nie ma dowodów kontynuowania przez nie potajemnych doświadczeń atomowych, trzeba się z tym liczyć, iż zrobią wszystko, by w tej dziedzinie przewagę uzyskać.

Mimo postępów w dziedzinie rakietowej oraz nienegowania wzrostu zagrożenia baz zamorskich gen. W. wypowiedział się przeciw jednostronnemu stawianiu na rakiety, co wytworzyłoby psychozę „linii Maginota". Chce mieć dwa żelaza w ogniu, dwa narzędzia odwetu: *bombowce i rakiety*. Bombowce nowoczesne m.in. także dlatego, że można ich potęgę pokazywać potencjonalnemu przeciwnikowi, jak ongiś pokazywało się okręty, i że rakiety o paliwie ciekłym nie mogą być gotowe do odwetu w ciągu 15 minut. Równocześnie jednak gen. W. podkreślił, że dopóki system BMEWS nie jest wykończony i nie ma operacyjnych rakiet przeciwrakietowych, powinny się znaleźć pieniądze na trzymanie, przynajmniej w okresie zaognienia sytuacji, choćby 1/4 części lotnictwa strategicznego w powietrzu. Kosztowałoby to wprawdzie około 500 milionów dolarów rocznie, ale dawałoby gwarancję, że natychmiastowy odwet będzie straszliwy.

Na zakończenie gen. W. odpowiedział w następujący sposób na bardziej precyzyjne pytania interlokutorów: Sowiety nie dlatego zachowują się ostatnio tak zaczepnie i bezczelnie, że ich zdaniem Ameryka jest słaba, a dlatego, że, wykorzystując jej pokojowość, chcą potęgę Ameryki w oczach swoich i obcych zdezawuować. Zachowują się przy tym jak ludzie, którzy dla dodania sobie otuchy w ciemności — gwiżdżą. Ulubionym ich chwytem jest bagatelizowanie różnych osiągnięć amerykańskich przy równoczesnym ich naśladowaniu. Najlepszym tego dowodem, że sowieckie lotnictwo strategiczne po cichu się unowocześnia, choć Chruszczow od lat nazywa bombowce przeżytkiem.

Reasumując, stwierdził, że jeśli idzie o lotnictwo, naród amerykański może obecnie czuć się jako tako bezpieczny. By tak było także w przyszłości, musi uświadomić sobie lepiej różnorodność i wzrastanie niebezpieczeństw, wypływających z uporczywego dążenia komunizmu do zapanowania nad światem, a ponadto zdobyć się na większe ofiary. Kierunki i nasilenie zbrojeń powinny być dostosowane do kierunków i rodzajów zagrożenia. Musi również zwiększyć się czujność i dyskrecja.

MOŻNA mieć wątpliwości, czy streszczone powyżej wypowiedzi gen. W. uspokoiły opinię amerykańską, a równocześnie zwiększyły gotowość do zwiększenia ofiar i czujności. Zwłaszcza, że nie mógł on wszystkich swoich tez uzasadnić i wszystkich doniosłych spraw poruszyć. Tak n.p. nie wspomniał ani słowem o lotnictwie taktycznym i roli sojuszników. Prawdopodobnie dlatego, że go o nie nie zapytano.

Można również mieć wątpliwości, czy gen. White słusznie udziela poparcia różnym i bardzo kosztownym planom wykorzystania jonosfery dla celów wojskowych, gdy równocześnie stwierdza, że ma za mało pieniędzy na unowocześnienie lotnictwa i przyspieszenie produkcji rakiet odwetowych i przeciwrakietowych. Czy n.p. istotnie potrzebne będą satelity alarmowe, gdy system BMEWS ma zapewniać sygnalizowanie zbliżania się rakiet?

Natomiast zupełnie niezrozumiałe jest, że tygodnik, który jego ciekawy i ostrzegawczy wywiad umieścił, zaraz na następnych stronach tego samego numeru podał nie tylko fotografię jednej z istniejących już baz „miękkich", t.z. naziemnych, ale także szczegółowy opis schematu i rozmieszczenia budujących się baz podziemnych, czyli twardych.

Zaiste osobliwa reakcja na słuszny apel gen. White o lepszą ochronę tajemnicy i większą czujność.

KRONIKA WOJSKOWA

WIELKA BRYTANIA. Dnia 20 lipca odbyła się w parlamencie dłuższa, lecz dość chaotyczna debata nad polityką zbrojeniową rządu. Nie tylko przedstawiciele opozycji, ale także niektórzy posłowie konserwatywni wytykali brak konsekwencji, marnowanie grosza publicznego na nierealne projekty, zaniedbywanie sił konwencjonalnych, zwłaszcza wojska, łudzenie opinii publicznej itd. Ostatecznie jednak, po replikach ministra obrony Watkinsona i ministra wojny Soamesa, większość, 310:230, wyraziła rządowi zaufanie.

Po zarzuceniu planu posiadania własnych dalekosiężnych rakiet typu „Blue Streak, które mogłyby być operacyjne najwcześniej około 1968 roku, rząd zawarł umowę z Ameryką w sprawie dostarczenia około 1964 roku lotniczych kierowanych pocisków dalekosiężnych „Skybolt" i rozważa możliwości wprowadzenia także morskich rakiet amerykańskich „Polaris" w charakterze dalekosiężnych rakiet lądowych. Niezależnie od tego kontynuuje się na australijskim poligonie Woomera proby lepszej wersji brytyjskich rakiet lotniczych „Blue Steel", które jednak ustępują amerykańskim „Skybolt". Te mają otrzymać głowice brytyjskie, będą jednak mimo to bardzo kosztowne.

Na poligonie australijskim odbywają się również doświadczenia z niewojskową rakietą „Black Knight". Wchodzą one w skład programu kosmicznego, na który przeznaczono 65 milionów funtów. Australij kich rakiet przeciwpancernych „Malcara", pono niezawodnych na odległościach do 1 mili, zamówiono zarazie 400. Wiadomości prasowe, że W. Brytania zamierza produkować brytyjskie rakiety taktyczne „Blue Water" wspólnie z Niemcami Zachodnimi, zostały przez ministra obrony Watkinsona zdementowane.

Brytyjskie ogniwo dalekosiężne amerykańskiej sieci radarowej, tzn. B.M.E.W.S., mającej sygnalizować zbliżanie się rakiet międzykontynentalnych, powstanie ostatecznie nie w Szkocji, lecz w hrabstwie York w pobliżu m. Fylingdale.

W związku z zestrzeleniem przez sowieckie lotnictwo nad Morzem Barentsa amerykańskiego samolotu rozpoznawczego RB-47, który wystartował 1 lipca z bazy brytyjskiej, rząd brytyjski podjął starania o zawarcie z Ameryką bardziej sprecyzowanej umowy, która zawarowałaby mu lepszą kontrolę. Niezależnie od tego toczą się w Waszyngtonie rozmowy na temat możliwości korzystania z baz brytyjskich przez amerykańskie okręty podwodne o napędzie atomowym.

Krążownik „Lyon", drugi z klasy „Tiger", został zaktywizowany 20 lipca po całkowitej przebudowie. Jego wyporność wynosi 9.550 ton, a szybkość ognia wszystkich zautomatyzowanych dział sięga 800 strzałów na minutę. Kosztował 12,5 milionów funtów. Dnia 30 czerwca spuszczono na wodę pierwszą fregatę, która będzie wyposażona we własny helikopter. Jest to fregata „Gurkha" należąca do klasy „Tribal". Jej wyporność wynosi 2.000 ton. Dnia 9 czerwca został wodowany pierwszy brytyjski niszczyciel, który będzie wyposażony nie w działa, lecz wyłącznie w rakiety przeciwlotnicze „Seaslug" i „Seacat". Ma on bardzo niską sylwetkę, wyporność ponad 5.000 ton i szybkość 32 węzły. Nazwano go „Devonshire". Zainstalowane na małym okręcie „Shoulton" nowe środki wykrywania min zdały znakomicie egzamin także przed amerykańskimi i kanadyjskimi specjalistami. W zakładzie Vernon w Portsmouth wypróbowano nowy ekwipunek dla nurków, który zastąpi dotychczasowy w przyszłym roku.

Przechodząc do dziedziny lotnictwa pilotowanego, warto przede wszystkim wspomnieć o tym, że przygotowuje się ulepszoną wersję bombowców Vulcan i Victor i że lotnictwo transportowe zostało wzmocnione przez zorganizowanie 2-giej eskadry wyposażonej w wielkie transportowce Britannia. Bombowce brytyjskie otrzymają rzekomo rewolucyjny przyrząd elektroniczny francuskiego pomysłu, który podobno niezmiernie utrudni ich wykrycie przez nieprzyjacielski radar. Wynalazek ten nazywa się „Carcinotron". Niestety opublikowano bardzo istotne jego elementy w jednym z pism szwajcarskich.

Wojsko lądowe otrzyma jeszcze w bieżącym roku helikoptery Bristol-192, nazywane „Belvedere". Mają one podwójne śmigła. Ponadto zamówiono turbinowe helikoptery „Whirlewind".

Zastępcą szefa sztabu lotnictwa został marszałek Lees, w miejsce marszałka Elsworthy, który został dowódcą lotnictwa brytyjskiego na Bliskim Wschodzie, w Adenie. Szefem sztabu lotnictwa jest nadal „air chief marshal" Pike. Przy tej okazji przypominam, że szefem komitetu szefów sztabu jest admirał floty Mountbatten, szefem sztabu wojska gen. Festing, którego niebawem zastąpi gen. Stockwell, a szefem sztabu marynarki wojennej i I. lordem morskim od niedawna admirał Caspar John, w miejsce chorego admirała floty Lambe.

O ile zgłoszenia do długoterminowej służby w lotnictwie i w marynarce wojennej są ilościowo wystarczające, o tyle napływ ochotników do wojska lądowego musi się znacznie poprawić, jeżeli jego stan liczebny ma w 1963 roku, bez selektywnej służby obowiązkowej, przekroczyć 165.000 o co dopiero sięgać 180.000, jak plan przewiduje. Armia Terytorialna, licząca obecnie 120.000, ma być zreorganizowana oraz lepiej uzbrojona i wyekwipowana. W związku z położeniem w Kenii i Pld. Rodezji przerzucono posiłki brytyjskie transportami powietrznymi do Afryki. Wzięto je z tak zwanej „grupy strategicznej", która tak czy inaczej jest szczupła. Kage

CZY NASTĄPIĄ DALSZE CZYSTKI W WOJSKU?

W Warszawie mówi się o tym, że usunięcie gen. Janusza Zarzyckiego ze stanowiska szefa Głównego Zarządu Politycznego wojska stanowi bardzo doniosły krok, który wskazuje na to, że Moskwa postanowiła rozciągnąć dokładną kontrolę nad wojskiem polskim i że ludzie typu Zarzyckiego nie cieszą się zaufaniem kierowniczych kół Armii Czerwonej. Dymisja Zarzyckiego pociągnąć ma za sobą jakoby dalsze przesunięcia personalne na czołowych stanowiskach w armii, szczególnie gdy chodzi o niektóre Okręgi Wojskowe i szkolenie polityczne w akademiach wojskowych.

Gen. Zarzycki — jak wiadomo — „zrezygnował" ze swego stanowiska w końcu maja br. Na jego miejsce powołano gen. brygady Wojciecha Jaruzelskiego, który liczy 37 lat i jest najmłodszym w Polsce generałem. (FEC)

Z ŻYCIA POLAKÓW W WILNIE

Język polski w Wilnie — jak opowiadają przybyłe stamtąd osoby — posiada nadal pełnoprawne obywatelstwo i dominuje na niektórych ulicach. Do każdego przechodnia można się śmiało zwrócić po polsku. Nawet przebywający tu dłużej Rosjanie nauczyli się trochę polskiego, a wśród Litwinów znikły nastroje antypolskie. Antagonizmów narodowościowych wśród ludności litewskiej, białoruskiej i polskiej niemal nie widać, choć stosunek do Rosjan jest nadal nieżyczliwy.

Obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej znajduje się na przedwojennym miejscu. Ludzie nie ukrywają czci dla niego. Często zdejmują czapki nawet Rosjanie. Nieliczne kościoły, które pozostały otwarte, stale w niedzielę są przepełnione.

Kawiarnie wileńskie, choć zdewastowane i słabo zaopatrzone, nie bardzo zmieniły swój przedwojenny charakter. Polacy nadal chętnie siedzą przy kawie czy herbacie, czytają gazety, dyskutują.

Nie narzekają też, że zdecydowali się tu pozostać. Gdyby jeszcze raz otworzyły się możliwości repatriacji z Wilna skorzystaliby z niej nieliczni. Kontakt z Polską w ostatnich latach bardzo silnie się wzmógł i miejscowi Polacy wcale tego nie kryją przed władzami sowieckimi. (FEC)

ŻUBRÓWKA

Wysoko gatunkowa nalewka na trawie żubrowej
oraz inne wódki i likiery najwyższej jakości

1782 LWÓW **J. A. BACZEWSKI** 1782 LWÓW

Jedyny przedstawiciel

ZDUN & CO. LTD.

18, Queens Gate Terrace, S.W.7. Tel. KNI. 0215

DO NABYCIA W WIĘKSZOŚCI KLUBÓW POLSKICH

PRZEGLĄD SPORTOWY

ZŁOTA LISTA POLSKICH OLIMPIJCZYKÓW

Poniżej podajemy spis Olimpijczyków, którzy reprezentowali barwy polskie na różnych Olimpiadach a którzy przebywają obecnie poza granicami Polski. Spis ten opracowany jest na podstawie materiałów ogłaszanych na łamach warszawskiego „Przeglądu Sportowego" w wielu odcinkach p.t.: „Polacy z pięcioma kołami". Zestawienia te opracował red. Z. Głuszek. Nie są one pełne. Dokonaliśmy w nich pewnych skrótów czy też uzupełniliśmy o niektóre szczegóły. Zdajemy sobie sprawę, iż wykaz ten może nie być pełny, a poza tym nie zdołaliśmy zebrać bliższych szczegółów o kilku Olimpijczykach o których wiemy, iż przebywają w W. Brytanii jak np. o świetnym ongiś siatkarzu A. Plucinskim i znakomitym koszykarzu inż. Gregołajtysie, których przepraszamy za te mankamenty. Gotowi jesteśmy je w każdej chwili uzupełnić.

BRAUN JERZY, wioślarz, członek Bydgoskiego Tow. Wiośl. i Warszawskiego Tow. Wiośl. Zdobywca srebrnego i brązowego medalu. Mieszka w Londynie.

1932 Olimpiada w Los Angeles: dwójki ze sternikiem — 2-gie miejsce na 4 startujące osady z czasem 8:31,2 min. (zwycięska osada amer. 8:25,8 min.). Partnerami Brauna w osadzie byli: sternik inż. J. Skolimowski (mieszka w Londynie) i J. Ślązak.

Czwórki ze sternikiem — w eliminacjach osada polska wygrała z USA w czasie 7:04,2 min. a w finale zajęła 3-cie miejsce z czasem 7:26,8 min. (czas zwycięskiej załogi Niemiec 7:19,0). Partnerami Brauna byli: sternik J. Skolimowski, J. Ślązak, S. Urban i E. Kobyliński. **1936 Olimpiada w Berlinie:** — dwójki ze sternikiem, w przedbiegu (6 osad) Polacy zajęli 4-te miejsce z czasem 7:59,9 min. a w repesażu (4 osady) 3 m. z czasem 8:56,2 min. odpadając z dalszych pojedynków. Partnerami Brauna byli J. Skolimowski (sternik) i J. Ślązak. **Czwórki ze sternikiem:** — w przedbiegu (5 osad) Polacy uplasowali się na 2 m. z czasem 8:12,2 min. odpadając z dalszych eliminacji. Partnerami Brauna w osadzie byli sternik J. Skolimowski, J. Ślązak, E. Kobyliński i R. Brzuchowski.

CHMIELEWSKI HENRYK — pięściarz, członek KS Geyer Łódź. Po Igrzyskach w Berlinie przeszedł do boksu zawodowego w USA (gdzie szybko zakończył wspaniałą karierę amatorską) i tam obecnie zamieszkuje (jeździ na statkach handlowych). **1936 Berlin waga średnia** — pierwszą kolejkę przeszedł bez walki, w drugiej zwyciężył na pkt. Schryvera (Belgia) a w ćwierćfinale również na pkt. Clarka (USA). W walce tej odniósł kontuzję ręki (właściwie odnowiła się stara kontuzja), przez co przegrał walkę półfinałową z Norwegiem Tillerem a do pojedynku o brązowy medal z Argentyńczykiem Villarrealem nie stanął oddając w. o. Ostatecznie Chmielewski zajął 4 m. w turnieju olimpijskim.

ERTMAŃSKI KAZIMIERZ — bokser, członek WKB Poznań, właściciel sklepu w Londynie. **1924 Paryż, waga półśrednia** — pierwszą kolejkę przeszedł bez walki, w drugiej rundzie przegrał przez tko z Amerykaninem Haggerty, odpadając z turnieju.

FIAŁKA KAZIMIERZ, lekkoatleta, członek Cracovii. Od czasu wojny pozostał za granicą („Przegląd Sportowy" nie podaje miejsca pobytu). **1936 Berlin** — maraton, nie ukończył konkurencji, wycofując się po 20 km na skutek kurczu mięśni.

GERBICH JAN — bokser, członek Łódzk. Kl. Sport. Mieszka stale w Brazylii. **1924 Paryż** — waga półciężka. Pierwszą kolejkę przeszedł bez walki, w drugiej przegrał przez tko w 2 rundzie z Duńczykiem Petersenem, odpadając z turnieju.

GZOWSKI KAZIMIERZ — jeździec por. 5 p. uł. Zdobywca srebrnego medalu. Przebywa stale w USA. **1928 Amsterdam. Konkurs skoków drużynowych** — 2 m. na 14 startujących drużyn z wynikiem 8 p. karnych. Partnerami Gzowskiego (dosiadał konia „Mylord") w zespole byli: M. Antoniewicz i K. Szosland.

HERDA, hokeista na lodzie, członek Górnika Katowice. W r. 1958 odmówił powrotu do kraju, pozostając w Niemczech Zach.

KRÓL LIDIA (Szczerbińska), gimnastyczka, członkini Gwardii Kraków. Podczas pobytu w Meulbourne wyszła za mąż, gdzie obecnie przebywa. Zdobywczyni brązowego medalu. **1956 Melbourne.** Ćwiczenie drużynowe z przyborem — — 3 m. ex quo z druż. sowiecką (zwyciężyła drużyna węgierska).

LUCKHAUS EDWARD, lekkoatleta, członek „Jagiellonii" Białystok. Podczas okupacji przyjął obywatelstwo niemieckie. Obecnie mieszka w Niemczech zach.

MASZEWSKI ANTONI, lekkoatleta, członek Legii Warszawa. Zginął w roku 1944 w walkach o Anconę w randze kapitana WP. **1936 Berlin** — 4x400 m w przedbiegu (3 drużyny) zespół polski zajął 3 m. z czasem 3:17,6 odpadając z dalszych eliminacji. Partnerami Maszewskiego byli: K. Kucharski, K. Biniakowski i T. Śliwak.

MATUSZEWSKA HALINA (KONOPACKA) — lekkoatletka, członkini AZS W-wa. Jako pierwsza Polka zdobyła złoty medal olimpijski. Przebywa na stałe w USA. **1928 Amsterdam**, dysk — w eliminacjach uzyskała najlepszy wynik ze wszystkich konkurentek — 39,17 m. W finale poprawiła się na 39,62 m zdobywając tym wynikiem pierwszy złoty medal dla Polski.

NADRATOWSKI WŁADYSŁAW — wioślarz, członek AZS W-wa. **1924 Paryż**, czwórki ze sternikiem — w przedbiegu (3 osady) Polacy zajęli ostatnie miejsce, odpadając z dalszych eliminacji. Partnerami Nadratowskiego (sternik) w osadzie byli: A. Brzozowski, H. Fronczak, E. Kowalec i J. Szawara.

PAZERA ANNA (Wojtaszkówna), lekkoatletka, członkini Budowlanych Opole. Podczas Igrzysk Olimpijskich w Melbourne pozostała w Australii, wychodząc za mąż za p. Pazerę. 1956 Melbourne, oszczep — w eliminacjach (19 zawodniczek, minimum kwalifikacyjne 43 m.) osiąga 44,8 m. W finale zajęła 9 m z wynikiem 46,92 m (zwyciężyła Rosjanka Jaunzeme 53,86 m).

RÓŻYCKI ZENON, koszykarz, członek AZS Poznań i KPW Poznań. Od czasu wojny mieszka w Anglii. **1936 Berlin** — członek drużyny koszykówki, która w pierwszej rundzie przegrała z Włochami 28:44, ale w spotkaniu dodatkowym wyciągnęła los wolny, przechodząc do dalszej eliminacji. W drugiej rundzie Polacy ulegli Japonii 31:43, wygrywając jednak w spotkaniu dodatkowym z Łotwą 28:23 i awansując dzięki temu do trzeciej rundy. Po zwycięstwie nad Brazylią 33:25 drużyna polska w ćwierćfinale wygrała z Peru w.o. a w półfinale uległa Kanadzie 15:42.

W pojedynku o brązowy medal Polacy przegrali z Meksykiem 12:26 zajmując 4-te miejsce za USA, Kanadą i Meksykiem. Różycki wystąpił we wszystkich spotkaniach.

SKOLIMOWSKI JERZY — wioślarz, czonek AZS W-wa, zdobywca srebrnego i brązowego medalu. Przebywa na stałe w Londynie. **1928 Amsterdam, ósemki** — w eliminacjach osada polska najpierw wygrała z Holandią w czasie 6:37,0 (Holandia 6:42,8), następnie przegrała z W. Brytanią 6:30,3 (Polska 6:43,2). W repesażu Polacy zwyciężyli Argentynę 6:24,6 (Argentyna 6:33,0), ale w następnej rundzie ulegli Kanadzie 6:37,4 (Polska 6:42,2), odpadając z dalszych eliminacji. Partnerami sternika Skolimowskiego byli: O. Gordziałkowski, S. Urban, J. Ślązak, A. Sołtan, M. Wodziański, W. Michalski, L. Laszewski i H. Niezabitowski

W 1932 Los Angeles dwójki ze sternikiem — osada polska zajęła 2 m. na 4 startujące osady w czasie 8:31,2 (zwyciężyła osada USA 8:25,8). Partnerami Skolimowskiego (sternik) byli: J. Ślązak i J. Braun. **Czwórki ze sternikiem** — w eliminacji osada polska pokonała USA w czasie 7:04,2 a w finale zajęła 3 m. z czasem 7:26,8 (czas zwycięskiej załogi niemieckiej 7:19,0). Partnerami Skolimowskiego (sternik) byli: J. Ślązak, J. Braun, S. Urban i E. Kobyliński.

1936 Berlin dwójki ze sternikiem w przedbiegu (6 osad) Polacy zajęli 4 m. z czasem 7:53,8 min., w repesażu (4 osady) 3 m. z czasem 8:56,2 odpadając z dalszych eliminacji. Partnerami sternika Skolimowskiego byli: J. Braun i J. Ślązak. **Czwórki ze sternikiem** — w przedb. (5 osad) Polacy zajęli 5-te m. z czasem 6:50,5 a w repesażu (4 osady) 2 m. z czasem 8:12,2 odpadając z dalszych eliminacji. Partnerami sternika Skolimowskiego byli: J. Braun, J. Ślązak, E. Kobyliński i R. Borzuchowski.

SEGDA WŁADYSŁAW — szermierz, członek AZS Kraków. Zdobywca dwóch brązowych medali. Mieszka w Anglii. **1928 Amsterdam, szabla drużynowa** — po zwycięstwach nad W. Brytanią 11:5 (Segda miał 4 zwycięstwa) i USA 9:7 (Segda 2 zwyc.) Polacy zaawansowali do ćwierćfinału w którym pokonali Belgię 9:7 (Segda 2 zwyc.) i Holandię 9:4 (Segda nie walczył) a z Włochami 0:16. W półfinale Polacy przegrali z Węgrami 2:14 (Segda 0 zwyc.) W walce o brązowy medal Polacy pokonali Niemcy 9:7 (Segda nie walczył). Parnerami Segdy byli: T. Friedrich, A. Małecki, A. Papée, K. Laskowski i J. Zabielski.

1932 w Los Angeles w drużynowym turnieju szabli brązowy medal w składzie: A. Papée. W. Segda, L. Nycz, W. Dobrowolski, Suski i T. Friedrich.

KULESZA SEWERYN — jeździec. Zdobywca srebrnego medalu. **1936 Berlin, szampionat konia drużynowo** — drużyna polska zajęła 2 m. na 14 startujących zespołów. Partnerami Kuleszy (jego koń „Toska") byli: H. Rojcewicz i Z. Kawecki.

A. PLUCIŃSKI — „Cracovia". Siatkówka. Mieszka w W. Brytanii.

INŻ. GREGOŁAJTIS — koszykówka. Mieszka stale w Londynie.

STANISŁAWA WALASIEWICZÓWNA — 1936 Berlin, srebrny medal w biegu na 100 m. Mieszka w Kalifornii.

WYSTAWA OBRAZOW

Łączyński (Londyn)
Viotto (Włochy)
także rzeźby
Hadżi Bośkov
(Jugosławia)
do 20 sierpnia 1960

Galeria Grabowskiego

84, Sloane Avenue, London, S.W.3.
OTWARTA CODZIENNIE
godz. 10 — 6 pp.

BILETY
PODRÓŻE
WAKACJE

STANMOR

TRAVEL AGENCY

121, EARLS COURT ROAD,
LONDON, S. W. 5. Tel. FRE 1155.
(Minuta od stacji Earls Court).

DOSKONAŁA POMOC.
Dobre przeliczenie. Łatwo sprzedażne.

NINON — francuskie szykowne sweterki bawełniane, v-neck, wykończenie przy szyji kontrastowe, krótkie rękawy, trzy wymiary. Kolory: granatowe, niebieskie, fioletowe, białe, koralowe. Cło tylko 12 zł.
Cztery sztuki: £ 2.3.6. 18 sztuk: £ 9.5.0.

BEATRICE — Jersey'owe garsonki (spódnica i sweterek) 60% wełny, szykowne i praktyczne, modny luźny krój, trzy wymiary. Kolory: granatowe, niebieskie, błękitne, popielate, fioletowe, jasno-zielone, koralowe. Cło: 120 zł.
Komplet: £ 3.17.6.

TRICELIN — materiał plisowany na spódnice, gwarantowanie nie rozchodzący się po praniu. Kolory: czarny, granatowy, niebieski, popielaty, biały, jasno-brązowy, jasno-zielony, szafirowy, wiśniowy.
Kupon na spódnice (3 yardy) z dodatkami £ 1.17.6.

TAZAB LTD.

22, ROLAND GARDENS, S. W. 7.

Tadeusz Sułkowski (1907—1960)

TARCZA

Fragment końcowy

Oto koniec dnia i ziemia ostyga,
dym nad kominem, zapocona uprząż,
rosa, brzęk wiader i pachnie wędzarnią.
Na progu domu, gdzie kamień aż zbielał,
siadła rodzina, w głębi palenisko.
Lędźwie otwarte jak przy odpoczynku,
łokcie na lędźwiach, a dłonie zwieszone,
suknia wygięta w łuk fałdy od kolan
i duże piersi w rozpiętym staniku.
Dłoń u mężczyzny pocięta bruzdami
zwisa ciężarem nad słupem goleni
zanim ją dźwignie do nowej twórczości.

Już ginie w nocy drzewo, komin, okno,
i tylko szum jest od obrotu ziemi,
przed którą siedzą jej ludzie, jej rodzaj.
Raduj się, matko, ziemio obfitości,
póki o zmierzchu jedna ludzka para
u twojej wielkiej stopy odpoczywa
przed nowym trudem. Chwała ludzkiej parze!
Piszczałko, bębnie i wesoła trąbko,
chwalcie ją drzewem, pałeczkami, blachą.
Gdy idą razem, biegnijcie przed nimi
w tańcu i chórem wołajcie: „Nadzieja",
piszczałko, bębnie i wesoła trąbko!

O, radości, nauczycielko,
O, radości, żywicielko,
O, radości, rodzicielko.

JÓZEF ŁOBODOWSKI

O TADEUSZU SUŁKOWSKIM

PISZĘ pod świeżym wrażeniem tej śmierci, której, po przeczytaniu krótkiej, nie podającej żadnych wyjaśnień notatki dziennikarskiej, nie chciałem, nie mogłem w pierwszej chwili dać wiary. Przecież co innego, gdy ktoś długo choruje, gdy od dawna wszedł w podeszły wiek, ale tu! Zaledwie kilka tygodni temu widziałem go ożywionego, radosnego, czynnego, pełnego dynamizmu... Gdy podczas wspólnej kolacji poszedł odebrać telefon, powiedziałem do Czesława Bednarczyka: „Widzę, że Sułkowski jest w doskonałej formie psychicznej. O wiele lepszej, niż za mego pierwszego pobytu w Londynie, przed siedmiu laty. Jakgdyby przez te lata odmłodniał".

Strofowaliśmy go w trójkę, na pół żartem, na pół serio, że ani rusz nie chce zdecydować się na wydanie zbioru wierszy. Bednarczyk opowiadł, że poemat „Tarcza" był już złożony, ale autor wciąż nie zgadzał się na oddanie go na maszynę. Ciągle coś poprawiał, dłubał, zmieniał. Gotowy skład leżał tak długo, aż go któregoś dnia przez pomyłkę stopiono. Sułkowski, skruszony, czy też tylko udający skruszonego, zapowiadał poprawę, przyrzekając, że wyda wkrótce i „Tarczę" i zbiór liryk.

Wiecznie się spieszył, zawsze zajęty, zawsze czymś zaaferowany, wszystkim — z wyjątkiem jego własnych, osobistych i pisarskich spraw. Gościnny i uczynny nie na miarę dzisiejszych złych czasów, bardzo gniewał się, gdy mu to wytykano. Nie znosił w takich wypadkach sprzeciwu, usiłował decydować arbitralnie. Pokpiwałem sobie z niego, że te nastroszone brwi Mefista i groźne czarne oczy to tylko złudna maska, pod którą kryje się sentymentalna miękkość. Niekiedy sprawiał na mnie wrażenie dorosłego dziecka, któremu kaprys losu dodał siwą czuprynę, żeby było jeszcze dziwniej. Srożył się, nadrabiał miną, ale usta drżały mu od powstrzymywanego śmiechu, gdy daremnie protestował przeciw posądzaniu go o przesadną dobroć.

Spędziłem z nim dwa ostatnie dni pobytu w Londynie. Żegnaliśmy się, obiecując sobie rychłe spotkanie na jesieni. Omawialiśmy różne plany, które już nie zrealizują się. Leży przedemną na stole rozpoczęty list, w którym... Już go nie skończę i nie wyślę. Zamiast tego piszę epitaphium.

Szybko topnieją szeregi emigracyjnych pisarzy. Bogusławski, Stroński, Naglerowa... Tak, ale to byli ludzie starzy. Odchodząc, zostawiali trud pisarskiego żywota zakończony. Tragiczny Lechoń przeżył sam siebie. A tu ledwie przekroczona pięćdziesiątka, tyle możliwości stojących otworem, tyle poematów do napisania. Tadeusz Sułkowski był równie dobrym poetą, jak człowiekiem. To chyba najbardziej ważkie, co można powiedzieć o zmarłym. Niestety, wypadło powiedzieć zbyt wcześnie.

Nie zdobył rozgłosu, ani popularności. A przecież w swoim pokoleniu napewno należy do czołowych polskich poetów. Ale gdy nawet młodsi od niego: Czuchnowski, Miłosz, Światopełek Karpiński — zdobywali mocną pozycję na długo przed wojną, Sułkowski wiele lat musiał czekać na uznanie, ograniczone zresztą do szczupłego raczej grona czytelników. Dojrzewał powoli, nie spiesząc się. Dał się poznać późno, dobiegając już czterdziestki.

Może właśnie ten brak pośpiechu, zdolność do namysłu i koncentracji sprawiły, że wszedł do poezji powojennej własną, oryginalną furtką, nie wykazując się żadnym wyraźniejszym rodowodem. Nie mieścił się w ramach żadnego kierunku, żadnej szkoły, był swój własny, odrębny. Po prostu był sobą, do nikogo nie podobnym. Był Tadeuszem Sułkowskim.

Jego warsztat poetycki zaczął kształtować się w okresie, gdy polską Rzeczpospolitą poetów wstrząsały awangardowe bunty przeciw skamandrytom. Powinowactwo z awangardą, bardziej z lat trzydziestych niż dwudziestych, było oczywiste i naturalne. Nie ugrzązł jednak w kręgu jej bezpośrednich oddziaływań, jak tylu innych. Rozumiał, że każdy musi stworzyć swoją własną poetykę, że do Rzymu poezji nie jedzie się zatłoczonym dyliżansem, lecz dochodzi samotną ścieżką.

Rozluźnienie tradycyjnych rygorów formalnych doprowadziło wielu młodych do anarchii. Sułkowski nie uległ tej pokusie. Zachował asonans, a nawet pełny rym, nie uląkł się tylekroć wyśmiewanej zwrotki, ani wiersza regularnego, jego metafora, często skomplikowana i kunsztowna, nie umyka nigdy kontroli, więc jest czytelna. W dążeniu do plastycznego wyrazu wiersz nabiera w szczęśliwych chwilach wypukłości płaskorzeźby. Tytuł poematu „Tarcza" nie urodził się z przypadku. Utwór ten, skomponowany jak muzyczna kantata, istotnie jest niby wzniesiona nad głową dźwięczna tarcza, na której sprawny rylec snycerza wyrył postacie i sceny, „jak ulane z brązu". Samowiedza artystyczna osiągnęła tu swój szczytowy moment.

Gdy się czyta w innym utworze: „W winiarni talerze z miedzi, ryte w winogrona i żagle, a szklanki malowane w czerwone wiśnie..." — można zamknąć oczy i smakować ten dwuwiersz palcami, właśnie jak kute w miedzi talerze i okrągłe szklanki. Takich obrazów, raz przypominających marmurowe fryzy, kiedyindziej malarstwo flamandzkie, znajdziemy u Sułkowskiego bardzo wiele. Chętnie wykorzystywał motywy poezji ludowej, ale nie włączając ich automatycznie, lecz przetapiając po swojemu w tak doskonały sposób, jak to wśród nas, prócz niego, potrafi chyba tylko jeden Przyłuski. „Przyleciało siedem kuropatw bosych"; „złotą blachę jutrzenki podaj, w złocie konie bułane wytnę"; „w wodzie zielonej, w brzęku pierścionka, w jutrzence pawiej odpoczywajmy" — cała magia poetyckiej baśniowości, stanowiąca rdzeń pieśni ludowej, znajduje tu pełnię wyrazu, osiągniętego najprostszymi środkami.

Powierzchowne spojrzenie na tę lirykę nieraz doprowadza do krótkiego określenia: szlukmistrz! Nic bardziej fałszywego i krzywdzącego. Jest to bowiem poezja, uporczywie dokopująca się do sensu moralnego życia. Poezja odpowiedzialności. Sułkowski żąda, „aby poeta tworzył utwór, jak ogród dla ludzi". Kiedyindziej precyzuje:

Arcydzieła się potłuką,
gdy są cackiem, nie nauką.
Z cackiem schodzić do przepaści?

Liczne wiersze noszą tytuły najzupełniej jednoznaczne: „Przypowieść", „Moralitet". Stąd nieuchronny dyktatyzm poetycki. Czasem podany jest on zbyt natrętnie, zbyt bezpośrednio — to w utworach słabszych. Przeważnie jednak wynika z zestawienia obrazów tak naturalnie, jak kwiaty z drzewa. Nieuchwytny dla zmysłów nurt przepływa poza rzeczami i sprawami ludzkimi, budzi niepokój, straszy mroczną metafizyką, podszeptuje gorzkie myśli i słowa. Ratuje go przed nimi biologiczna radość życia: „Oprócz wina i liści nic tu nie dostaliśmy, ale liście zielone, ale wino czerwone..."

Biologizm — tak, uroda życia — tak, ale ta radość wynika nie tylko ze spontanicznego zanurzenia się w żywiole istnienia. Wypływa z upajającej świadomości, iż jego „blask jest tak wielki, że ręką można rozdzielić na dwoje to, co niedobre, od tego, co prawe".

Tak osiąga się upragnioną równowagę, bez której nie ma prawdziwej sztuki, tak odzywa się tryumfalnym głosem nadzieja.

Radości, mądra kobieto,
połóż na nas dłoń życzliwą,
w instrumentach obudź pienia
a w człowieku godny żywot.

●

Wraz ze śmiercią Sułkowskiego poezja polska poniosła bolesną stratę. Zamilkł ktoś, przemawiający własnym, czystym głosem, a przemawiający tak, że jego słowa były materialne i dźwięczały i znaczyły. Gdy dokoła tyle pseudo-nowatorskiej szarlanterii, tylu „eksperymentujących" jąkałów, tyle samopas puszczonych wierszy, które niczego nie wyrażają, bo nie mają nic do powiedzenia, jakże boleśnie zatrzymać się przy tej znagła przerwanej drodze, wydeptanej stopą zarazem uskrzydloną i mocno trzymającą się ziemi.

Za życia Tadeusz Sułkowski poskąpił nam wydania swoich utworów. Miejmy nadzieję, że wkrótce je otrzymamy, by cieszyć się poetyckim instrumentem, który dźwięczy całą pełnią muzyczną, „choć ręki już nie ma na gryfie..."

SZYBKO I TANIO!
Biuletyny, ulotki reklamowe, druki jedno i wielobarwne
wykonują
ZAKŁADY GRAFICZNE
GRYF Printers (H.C.) Ltd.
169-171, Battersea Church Road
London, S.W.11 Tel. Bat. 0879

DHARAMSALA położona jest u podnóża Himalajów, nad doliną Kangry, słynącej z wielkiej ilości świętych z III wieku przed Chrystusem, to znaczy z czasów, kiedy panował tu buddyzm. Liczy ona około 11.000 mieszkańców wyznania bramińskiego. Muzułmanie, którzy przed podziałem Indii stanowili tu poważną grupę, bo około 40% ludności, w swej większości opuścili miejscowość udając się do Pakistanu Zachodniego. W pozostawionych domach mieszkają dziś uchodźcy tybetańscy. Jest tu i mała, licząca około 200 osób grupa chrześcijan; ma ona swój kościół, ukryty w sosnowym lasku na zboczach wyżyny Cantt.

Kino, biblioteka państwowa, dwa szpitale, szkoły: powszechna, średnia i liceum; przemysł drzewny i cementowy. Klimat jest tu umiarkowany — górski, a jednak w dolinie Kangry rosną bambusy, manga i kukurydza, a na zboczach wyżyn i gór koło sosen i brzóz rosną tropikalne kaktusy i nawet banany.

Woda topniejących śniegów Himalajów użyźnia tarasowe pola na zboczach i w dolinie, obfite w ryż, ten chleb Indii. Kraj piękny i bogaty. Miasto turystyczne, połączone doskonałą komunikacją autobusową ze stacją węzłową Pathankot, pełne życia. Hałaśliwa młodzież, wyraźnie nadążająca za nowoczesnym stylem życia i o szerokim polu zainteresowań, ma możność wyszlifowania swych poglądów w zetknięciu z wielką, jak na Indie, ilością turystów. Wojskowi z pobliskich baz, chodzący grupami, dodają miastu barwy; jako że do granicy tybetańskiej jest w prostej linii 120 mil — jest tu ich wielu i wyglądają bojowo. Rząd Indii skupił większość sił militarnych na pograniczach północnych i w Kaszmirze.

Dharamsala nabrała specjalnej wagi kiedy 29 kwietnia 1960 przybył tu żyjący Budda, reinkarnacja Bodhi-Satwa Czenerezi, Bóg-Król Tybetu, Dalai Lama, który uszedł zbrojnemu natarciu wojsk chińskich na Lhassę w marcu ubiegłego roku.

W Tybecie walki trwają do dziś, mimo że partyzanci nie mają żadnej pomocy znikąd a różnica sił i uzbrojenia jest na ich niekorzyść. Ciągle też napływają do Indii nowe fale uchodźców.

Siedziba Dalai-Lamy, odległa od centrum Dharamsali o 3 mile, znajdująca się na szczycie wyżyny Cantt, około 6.000 stóp nad poziomem morza, przyciąga wielu wiernych z Tybetu i innych krajów, pragnących uzyskać błogosławieństwo Żyjącego Buddy.

Dharamsala jest dziś Rzymem buddyjskiej Azji.

PO godzinnym marszu stromą, nowowybudowaną asfaltową drogą dotarłem do grupy ładnie wyglądających domków, przypominających nasze zakopiańskie wille, a wśród nich jednego większego, wyróżniającego się dużą ilością okien i werandą, a widocznie ważnego, gdyż na rogach otaczającego ogrodu widoczne były cementowane budki policyjne.

— Tu mieszka Dalai Lama, powiedział mi mój towarzysz Hindus, którego poznałem w dniu przyjazdu, a który, dowiedziawszy się, że przyjechałem w celu zetknięcia się z Tybetańczykami, ofiarował się mi służyć za przewodnika, jako że Dharamsala, choć mała miejscowość, ma dużo dróg i ścieżek — i łatwo jest się zgubić. Hindusi są bardzo uczynni.

Nie było moim zamiarem uzyskać *interview* z Dalai Lamą tegoż samego dnia; chciałem tylko doręczyć listy sekretarzowi i tłumaczowi i ustalić datę audiencji. Zameldowałem się przy bramie, prosząc o skontaktowanie z tłumaczem. CID (hinduska tajna policja) wzięło mnie na grzeczne a nawet nieśmiałe (tak mi się wydawało) spytki: a skąd? a po co? czy w celach religijnych, czy prywatnych? Dawałem krótkie i uprzejme odpowiedzi: że student filozofii z Madrasu, że Polak, że mam osobiste listy do *His Holiness The Dalai Lama*. Jako że głos mój był spokojny i obojętny, czułem, że nabierają do mnie zaufania; by się upewnić, powiedziałem kilka żartów, na które zareagowano, i poprosiłem o szklankę zimnej wody: Dharamsala leży w Himalajach, ale że to czerwiec i godziny popołudniowe — odczuwa się gorąco jak na Côte d'Azur.

Po krótkim czasie zjawił się tłumacz Sonam Topgay. Nawiązała się rozmowa, od razu bardzo przyjazna, gdyż zna on kilku Polaków z Indii, którzy są jego „najlepszymi przyjaciółmi". Znaleźliśmy wspólnych znajomych, wtedy pokazałem list do Dalai Lamy. Był zachwycony i zapytał, czy chcę zobaczyć go zaraz. Odpowiedziałem, że ponieważ wiem, że Dalai Lama wrócił przed godziną z podróży a zbliża się już wieczór, więc wolałbym raczej jutro.

Nie był to prawdziwy powód. Paliłem się do jak najszybszego spotkania lecz by wizyta moja stała się w pełni owocna brakowało mi najważniejszego listu: listu generała Andersa; spodziewałem się go z chwili na chwilę, miałem nadzieję, że zastanę go po powrocie do Tourist House, gdzie się zatrzymałem.

Miałem być przyjęty następnego dnia o 10 rano. Listu jeszcze nie było. Nazajutrz byłem na miejscu o pół godziny wcześniej. Policjanci powitali mnie grzecznie i wbrew hinduskim zwyczajom podali mi ręce, zapadła cisza.

— A więc jest Pan studentem? ponownie zapytał jeden z nich. Pytania

NAKŁADEM INSTYTUTU BADANIA ZAGADNIEŃ KRAJOWYCH
ukazała się książka p.t.:
ROCZNIK SPRAW KRAJOWYCH
okres 1958 i 1959
pod redakcją
STEFANA MĘKARSKIEGO
DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH.
Główne przedstawicielstwo:
„GRYF PUBLICATIONS LTD."
169, Battersea Church Rd., London, S. W. 11.
Stron 388 — Cena 18 sh. 6d.

„ROK 1914"
M. SOKOLNICKI
UKAŻE SIĘ W KOŃCU BIEŻĄCEGO ROKU.
Przedpłata do 15. XI. 1960.
CENA 35/- lub $6.00 lub NF 25.00
W przedpłacie do 1. 9. 1960 — 25/- lub $4.00 lub NF 18.00
GRYF PUBLICATIONS LTD.
169, Battersea Church Rd., London, S. W. 11.

Z WIZYTĄ U DALAJ LAMY

Nadesłał JAROSŁAW GIERCARZ

Nasz korespondent jest wychowankiem polskiego liceum w Les Ageux. Studiuje filozofię hinduską na uniwersytecie w Madras, jako stypendysta Fundacji Paderewskiego.

Na zdjęciu: Autor wręcza Dalaj Lamie list generała Andersa

trwałyby długo, gdyby nie zjawił się sekretarz i nie zaprosił mnie do środka. Za mną szedł tragarz, niosąc dwie paczki specjalnych zeszytów przystosowanych do tybetańskich manuskryptów — dar Polaków z Madrasu.

Po krótkiej rozmowie ustaliliśmy, że jako obcokrajowiec powitam Dalai Lamę zwyczajem europejskim (zwyczaj tybetański polega na ofiarowaniu *katy* — białej jedwabnej szarfy — wykonując przy tym kilka specyficznych gestów).

Kiedy znaleźliśmy się na werandzie, spostrzegłem przez otwarte szerokie drzwi idącego ku mnie młodego człowieka, ubranego w brązowy, typowo tybetański strój — habit *Lamów*, religijnych i politycznych zwierzchników państwa, zwanego Dachem Świata.

Młodzieniec ten, dokładnie w moim wieku (Dalai Lama urodził się 6-go czerwca 1935 r.) zrobił na mnie od razu miłe wrażenie; bez żadnej sztucznej pozy, z całą prostotą witał mnie z daleka uśmiechem, trochę dziecinnym, może dlatego, że krótko strzyżone włosy przydawały mu chłopięcego wyglądu. Wyciągnął rękę i prawie nieproporcjonalnym do jego delikatnej i kształtnej figury niskim głosem wypowiedział kilka tybetańskich słów powitania. Odpowiedziałem po angielsku, następnie przedstawiłem się, mówiąc o celu mej wizyty. Tłumacz przekładał, a kiedy wypowiedział słowa: „Polacy bardzo mocno odczuli utratę niepodległości narodu tybetańskiego" — usłyszałem znowu dziwny, prawie że dziecinny, półgłośny śmiech. Chyba zadowolenia? Na razie nie wiedziałem, jak mam interpretować tego rodzaju śmiech. Przez chwilę myśl moja mocno zajęta była tym pytaniem.

Byliśmy w niewielkim salonie, nowocześnie urządzonym: w środku okrągły niski stół, a wokoło fotele i kanapy, obite błyszczącym płótnem w barokowy deseń; na ścianach *Thangkii*, tybetańskie sztandary z tekstami modlitw i wizerunkami Gautamy Buddy w różnych *mudrach* (postawach), wszystko razem bardzo zwykłe i proste. Atmosfera była taka, że od razu poczułem się jak w domu; bez wahania więc, na zaproszenie, usiadłem pierwszy w wygodnym fotelu; że to był nietakt zdałem sobie sprawę dopiero później, kiedy przemyśliwałem o wizycie. Nikt mi tego jednak nie wziął za złe, a po pewnym czasie nawiązała się ożywiona rozmowa. Przyznam się, że nie pamiętam, kiedy Dalai Lama usiadł; prawdopodobnie musiało to nastąpić bardzo szybko po mnie.

By zastąpić brak listu z Londynu, zacząłem mówić o polskich uchodźcach na Zachodzie, o ich organizacjach politycznych, kulturalnych i religijnych; wyliczyłem wszystkie narody środkowo-wschodniej Europy, które wszystkie są w sytuacji podobnej do tej, w jakiej znajdują się dziś Tybetańczycy; następnie przekazałem ustne polecenie min. Aleksandra Demideckiego, przwodniczącego Oddziału TRJN we Francji, które otrzymałem od niego przed moim wyjazdem do Indii, by w imieniu Emigracji polskiej we Francji złożyć wyrazy uznania i moralnego poparcia w walce o wolność Tybetu, jako że naród polski dobrze rozumie co oznacza utrata wolności i wie jak ciężka jest walka o odzyskanie niepodległości.

Dalai Lama zareagował na to bardzo żywo, mówiąc, że dużo już słyszał o Polsce i że jest wdzięczny za stosunek Polaków do sprawy tybetańskiej.

— Sytuacja waszego narodu w Europie i mojego w Azji, powiedział, jest w wielu punktach podobna; jest jednak i wielka różnica: naród tybetański jest zacofany oświatowo, izolowany przez wieki górami, nie obeznany z nowoczesną cywilizacją; żył swą własną kulturą w pokoju i wolności... Jest nam trudno tu na emigracji, gdzie znaleźliśmy się po raz pierwszy, nadążyć za nowoczesnym sposobem organizacji społeczno-politycznej. Naród polski jest w lepszym położeniu: należy do kultury, gdzie ludzie umieją organizować się politycznie i ma w tej dziedzinie długoletnie doświadczenie. Z radością witam wasze sympatie dla mego narodu; jest mi szczególnie miło stwierdzić, że sprawą naszą interesuje się polskie młode pokolenie; mam nadzieję, że w przyszłości będziemy mieli bliższe stosunki.

Słowa te mocno mnie wzruszyły, tym bardziej, że Dalai Lama mówił je z wielką powagą, bardzo wolno, a podczas długich przerw szukał — gdzieś zapatrzony — właściwych słów. W tej chwili zdałem sobie w pełni sprawę ze znaczenia tej rozmowy.

Zapadła chwila głębokiej ciszy. Sam nie wiem dlaczego, zacząłem szukać słów pocieszenia, równocześnie wiedząc że nie są one w danej chwili wskazane i brzmiały by raczej niepoważnie: przypomniałem sobie, co czytałem w prasie o wydarzeniach w Tybecie. Nic więc nie mówiąc, podniosłem wzrok i spotkałem ciemne oczy Dalai Lamy, jeszcze smutne; po chwili uczułem jak równocześnie jego i moja twarz przybierały wyraz pogodny, aż wreszcie wymieniliśmy szczere i szczęśliwe uśmiechy.

Teraz rozmowa toczyła się w niezwykle miłej atmosferze. Wręczyłem list polskiego liceum w Les Ageux z podpisami uczniów i profesorów.

— Dziękuję, dziekuję, odpiszę na ten list!

Z kolei doręczyłem list Fundacji Paderewskiego w Nowym Jorku wraz z ofertą finansowej pomocy tybetańskiemu szkolnictwu emigracyjnemu lub ewentualnie stypendium. Dalai Lama bardzo zainteresował się tą ofertą; prosił, bym podziękował panu Edwardowi S. Witkowskiemu, prezesowi Fundacji.

— Jestem rad powitać polską pomoc, będącą dowodem polskich sympatii, które bardzo cenię!

Następnie wręczyłem paczki zeszytowe, ofiarowane przez Polaków z Madrasu.

Rozmowa trwała już przeszło godzinę. Grupa wiernych tybetańskich i hinduskich czekała w ogrodzie na błogosławieństwo. Kończąc audiencję, Dalai Lama powiedział, że bardzo chciałby nawiązać kontakt z emigracjami Środkowo-Wschodniej Europy. W tym celu zaprosił mnie na drugą rozmowę. Pożegnaliśmy się serdecznym, przedłużonym uściskiem dłoni.

PODCZAS mego pobytu w Dharamsali, pokój mój w Tourist House był miniaturą polskiej ambasady: codziennie odwiedzali mnie gońcy tybetańskiego rządu, przynosząc listy lub książki, a również najnowsze biuletyny informacyjne o sytuacji w Tybecie. Na ścianach powiesiłem kilka obrazków tybetańskich, a nad kominkiem, w miejscu, które uznałem za honorowe, wisiała *kata*, biała szarfa, ofiarowywana przy powitaniach, jako znak szacunku, którą otrzymałem od ministra Liushar'a; na biurku leżał list z pieczęcią Rządu Tybetu, z którego oczywiście byłem bardzo dumny: było to zaproszenie do Ministra Spraw Zagranicznych.

Tym razem ustaliliśmy z sekretarzem, że przywitam ministra po tybetańsku; zrobiłem więc kilka prób, którym asystowała służba, rozbawiona moim przejęciem się tybetańską sztuką powitania.

Liushar Dzaza Lama był kilkakrotnie w Chinach, a w roku 1951, po zbrojnym najeździe komunistycznych Chin na Tybet, był członkiem delegacji, która bezskutecznie usiłowała ułożyć się z Chińczykami. Przyjął mnie on w swoim prywatnym mieszkaniu, w wielkiej willi, która służy dziś jako siedziba trzech ministrów. Był ubrany w cywilny strój europejski; jest to człowiek małego wzrostu, lat około 50-ciu, bezpośredni w obejściu, energiczny i zdecydowany.

Rozmowa miała trwać godzinę. Trwała trzy: Liushar wykazał ogromne zainteresowanie Polską i innymi krajami ujarzmionymi oraz działalnością ich emigracji. Ze swej strony, dowiedziałem się o pozycji i zamiarach rządu Dalai Lamy na najbliższą przyszłość.

Na zapytanie, jakie jest stanowisko władz Indii wobec rządu Dalai Lamy na uchodźctwie otrzymałem odpowiedź następującą:

— Rząd Indii traktuje nas jako gości; przeznaczył nam Dharamsalę jako siedzibę naszego Rządu i jest przychylnie ustosunkowany do naszych zamiarów czasowego osiedlenia się w Indiach.

Dalsze pytanie brzmiało: czy Rząd ma wpływ na bieg wypadków w Tybecie?

— Rząd opuścił Kraj wobec niemożności dalszego działania politycznego, w celu zorganizowania zagranicą niezależnego życia kulturalnego i, o ile warunki na to pozwolą, politycznego, by ratować naszą kulturę, która obecnie ulega całkowitemu i świadomemu niszczeniu przez władze chińskie. Ludność jest wywożona do Chin, na jej miejsce osadzana jest ludność chińska. Klasztory, które w naszym kraju są równocześnie instytucjami administracyjnymi, są likwidowane, a ich budynki często niszczone. Stosunek władz chińskich do ludności jest zgoła barbarzyński... Nie mamy dziś praktycznie żadnego wpływu na bieg wypadków w kraju, o tym co się tam dzieje wiemy tylko od uchodźców, którzy ciągle przybywają do Indii.

— Jakie są powody tego napływu i jaki rodzaj ludności opuszcza kraj?

— Chińska propaganda nazywa uchodźców „reakcją burżuazyjną". W rzeczywistości większość ich jest pochodzenia rolniczego. Znaleźli się oni w skrajnie trudnych warunkach materialnych: pracownik rolny otrzymuje rocznie 320 funtów ziarna w zamian za codzienną 10-godzinną pracę — i nic więcej! Więc jedni organizują się w grupy partyzantów i prowadzą beznadziejną walkę, inni uchodzą do Indii...

— Ilu jest uchodźców w Indiach? Czy rząd indyjski udziela im pomocy?

— W Indiach jest obecnie 30.000 uchodźców; na początku otrzymują oni od Rządu Indii pomoc w postaci skromnego utrzymania; następnie otrzymują pracę, przeważnie przy budowie dróg w obrębie Północnych Indii, wzdłuż Himalajów. Szwankuje opieka lekarska. Pewien drobny procent zatrudniony jest w przemyśle tkackim, wielu jest bez pracy.

— Czy rząd tybetański ma wpływ na los uchodźców?

— Rząd ma swoich przedstawicieli w każdym większym ośrodku uchodźców; ułatwiają oni uchodźcom urządzenie się w Indiach; do tych też celów został stworzony komitet, którego siedziba jest w Delhi; zdołaliśmy otworzyć w Mussoorie szkołę powszechną dla 1.000 uczniów, planowane są dwie szkoły, średnie i wyższa, razem na 1.500 uczniów; obejmie to około 2.500 uczniów od 5 do 21 lat; planowany jest też Instytut Badań Naukowych. Otrzymaliśmy ze Stanów Zjednoczonych fundusze na otworzenie klasztoru w Bauxa, którego zadaniem będzie kontynuowanie tradycyjnego życia zakonu buddyjskiego. Tego rodzaju pomoc, jaką ofiarowuje nam Fundacja Paderewskiego na szkolnictwo — jest dla nas nie tylko ważną pomocą materialną, lecz i dowodem polskich sympatii, i dużą zachętę do wytrwania w walce. Pierwszym naszym celem jest stworzenie takich warunków, które by pozwoliły na kontynuację i rozwój naszej kultury oraz na wychowanie młodych kadr, które w przyszłości, przyczynią się do odzyskania niepodległości naszego kraju.

Tu służba przyniosła herbatę. Jeszcze nigdy nie piłem t.zw. tybetańskiej herbaty (z masłem, z mleka jaków). Ze smutkiem stwierdziłem, że herbatę przygotowano po europejsku...

Prosiłem ministra o wyjaśnienie mi znaczenia tybetańskiego godła.

— Trzy góry oznaczają topograficzny wygląd Tybetu, państwa najwyżej położonego na świecie — 9.000 stóp. Księżyc i słońce między nimi oznaczają, że nauka Buddy rozejdzie się po całym świecie jak światło tych ciał niebieskich. Dwa lwy są symbolem potęgi; mitologia nasza podaje, że lwy te żyją w naszych górach i nazywamy je lwami śniegów. Przedmiot przez nie trzymany nazywa się *korlo;* jest to symbol religijny: reinkaranacja, życie ludzkie jako kołowy proces; w centrum widoczne jest mniejsze koło podzielone na trzy części, symbolizujące trzy prowincje Tybetu. Napis u dołu brzmi: Państwo Tybetu zawsze zwycięskie.

Nie zaniechałem zwrócić uwagę rozmówcy na podobieństwo tybetańskiego słowa *korlo* z polskim koło; oba wywodzą się z Sanskrytu.

Przedstawiłem Liusharowi dzieje Polski w ciągu dwu ostatnich wieków, historię naszych powstań i kolejnych Emigracji, kończąc krótkim naszkicowaniem obecnej sytuacji w Kraju i na Emigracji, oraz podaniem wiadomości o Radzie Trzech, TRJN jak również ACEN i organizacjach innych narodów ujarzmionych. Następnie zadałem kilka pytań:

— Co Pan Minister sądzi o nawiązaniu kontaktów z emigracją polską i innych krajów ujarzmionych?

— Dałoby to nam możność skorzystania z ich doświadczeń, co ułatwiłoby nam nasze zorganizowanie się, pozatym wzmocniłoby naszą solidarność.

— Co Pan Minister sądzi o zorganizowaniu międzynarodowego zjazdu przedstawicieli wszystkich emigracji politycznych celem wzajemnego zbliżenia i skuteczniejszego poruszenia opinii publicznej świata?

— Zjazd taki napewno byłby wskazany. Moglibyśmy obok przedstawicieli legalnego rządu posłać prostych ludzi, by zaprzeczyć fałszywej propagandzie Chin.

Kiedy *interview* dobiegało końca, Liushar postawił mi pytanie:

— Jakie jest Pańskie zdanie o komunizmie?

Po mojej odpowiedzi, opartej na bezpośredniej obserwacji (byłem w Polsce w 1957 r. i wrażenia swe opisałem w n-rach 20, 21, 22 i 23 „Syreny z tegoż roku), Liushar, który jest nie tylko ministrem, lecz i *lamą* oraz autorytetem naukowym, podchwycił temat, który poruszyłem: miejsca, jakie jednostka zajmuje w społeczeństwie.

— Wolność jednostki i poszanowanie jej praw do stanowienia o sobie — powiedział — nie tylko stwarzają warunki twórcze dla jej umysłu, lecz również przynoszą stan szczęścia, do którego każdy człowiek dąży. Z kilku moich podróży do komunistycznych Chin wyniosłem wrażenie, że nie tylko brak tam wolności jednostki, lecz że wśród prostej ludności, tak samo jak wśród klasy rządzącej — panuje strach. Strach zaś jest największym wrogiem twórczego działania.

* *

Kilka dni później, 27 czerwca, nastąpiła druga moja wizyta u Dalai Lamy. Tymczasem z Londynu nadszedł list gen. Władysława Andersa. Doręczenie tego listu Dalai Lamie było zasadniczym powodem mej drugiej wizyty. Dalai Lama bardzo się zainteresował treścią listu gen. Andersa. W czasie naszej dwugodzinnej rozmowy raz po raz wracał do tego listu. Na zakończenie powiedział mi:

— Jestem jak najbardziej gotów przestudiować wszystkie szczegóły dotyczące stosunków dwóch naszych emigracji — polskiej i tybetańskiej. Proszę o tym zakomunikować Przywódcy waszej emigracji.

Skromny cel, jaki sobie postawiłem — został więc osiągnięty.

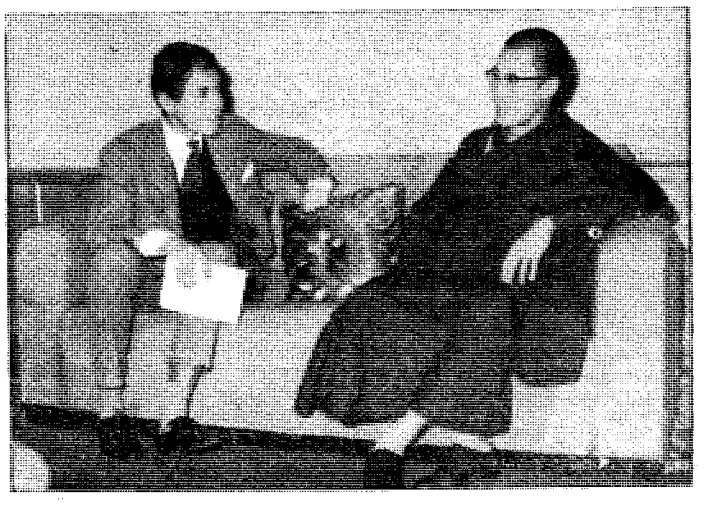

Tybet i Polska spotkały się w prostym uśmiechu"

JÓZEF ŁOBODOWSKI

Droga powrotna

POWIEŚĆ

52)

— Zastanówcie się tylko! — ciągnął z ożywieniem Ormianin, zachęcony spojrzeniem dziewczyny. — Dopiero co żeście tego miodu spróbowali, nawet rozsmakować się nie było czasu. Wiecie, jaka to droga? Chyba z piętnaście razy dalej, jak stąd do Jejska, albo i więcej. Pozwolisz to, żeby Szuroczka zbijała piękne nóżki do krwi?! Ten pokój, gdzieście spali, oporządzi się, czego Szura zażąda, wystaram się i dostarczę. Żeby niczego na miodowe miesiące nie brakowało. Chcesz z nią najpiękniejsze noce spędzać w przydrożnych rowach, jak z najgorszą szantrapą?

Staś skupił całą uwagę na małym pajączku, który pracowicie i niewiadomo po co biegał w górę i w dół po srebrzystej nitce, ledwie chwiejącej się wraz z liściem winorośli. Szura słuchała, oparta łokciami na stole.

— Druga sprawa: żarcie. Ile w tobołkach możecie ze sobą wziąć? — na trzy, cztery dni? No, choćby nawet na tydzień... A taka podróż miesiącami będzie trwać. Tu wszystkiego za dobrą forsę dostanie, a jak będzie dalej — niewiadomo. Pewnie, że was zaopatrzę i w sowieckie i w carskie. Złotych rubli też nie pożałuję. Ale są takie okolice, gdzie i za złoto niczego nie dostaniesz. Widzieliście te dwa trupy na ulicy? To jeszcze nic, wyjdziecie na miasto, gorsze rzeczy zobaczycie. Całe Powołże tu zwaliło. Milicja i wojsko zagradzają, nie pozwalają, ale rady dać nie mogą. I tak głodomory przeciekają. Część na Kaukaz pcha się, część na Ukrainę. Naleci taka chmara na wieś, jakby tatarski chan przeszedł. Chłopi ich kłonicami, cepami tłuką, strzelają jak psów, a oni nic, pchają się z tej rozpaczy. Wiadomo: głód człowieka w zwierzę przemienia. Więc może stać się tak, że dzień, dwa będziecie szli i funta chleba nikt wam nie sprzeda.

— Prawie cały rok stracony. I matka przez ten czas na śmierć się o mnie zamartwi.

— Zawiadomi się.

— Jak?

— Znam takiego odessytę. Słynny bandyta był i włamywacz, „złotą rączką" go nazywali. Żyd, ale morowy gość, choć już się trochę zestarzał i skapcaniał. Z Odessy musiał wywiać, bo mu zanadto na pięty następowali. On się tym zajmie. Pójdzie wiadomość o tobie do Odessy, a stamtąd do rumuńskiej granicy — rękę podać. Przez Rumunię list zawędruje. Wiesz na jaki adres?

— Mam adres ciotki.

— To wystarczy. Zaraz na papierku mi wypisz, dziś w nocy załatwię.

Wieczorem, gdy zamknęli się w swoim pokoju, znowu radzili nad projektem Aszwajanca. Szura zdecydowanie go poparła. Staś oponował, ale sam zdawał sobie sprawę, że jego najlepsze argumenty rozbijają się o logiczne rozumowanie przyjaciela. Natychmiastowa wyprawa wyglądała znacznie niebezpieczniej, niż mu się to wydawało przed wymarszem z Jejska. A po zapewnieniu, że rodzina otrzyma wiadomość, i ten szkopuł odpadał. Ostatecznie ustalili kompromis. Zaczekają, aż Szura dowie się, czy można pojechać towarówką. Na przykład, do Kijowa. To byłoby dwie trzecie drogi, albo i więcej. Z Kijowa już można ryzykować na piechotę. Z opowiadań ojca Staś pamiętał, że są tam wielkie lasy, ciągnące się prawie nieprzerwanie po granicę polską i dalej aż po Bug. Nie ma więcej niż trzysta wiorst; nie wysilając się, przejdą w dwa tygodnie. Jeśli jednak nie uda się pojechać do Kijowa, lepiej przezimować w Rostowie.

Szura nie spodziewała się, że chłopiec ustąpi tak łatwo, więc dziękowała mu za zgodę długo i gorąco. Bała się trochę tej nieznanej i dalekiej Polski, truchlała na myśl, jak zachowa się rodzina Stasia, i z radością uczepiła się tej kilkumiesięcznej zwłoki. Tuż przed kolacją, korzystając z chwilowej nieobecności chłopca, Aszwajanc prosił ją, żeby go namawiała na pozostanie. „I dla ciebie — mówił — też lepiej. Im dłużej będziecie ze sobą spali, tym bardziej się w tobie rozsmakuje. Staraj się, krasunio, żeby był zadowolony..." Szura starała się.

Minęło parę dni. Na miasto nie wychodzili, bo zalecany przez Ormianina tatarski szewc spóźniał się z robotą, a w starych, porwanych pantoflach dziewczyna wyjść nie chciała. Uparła się, że „dawniej to było co innego, a teraz jej nie wypada!" Siedzieli przeważnie w altanie, snując plany na przyszłość.

Grisza przepadał po nocach, w dzień spał. Spotykali się ze sobą prawie wyłącznie wieczorami. Mieszkańców domu widywali przelotem, obcując częściej tylko z małą garbuską, która przynosiła im jedzenie, zmieniała bieliznę pościelową i ręczniki. Uderzyło ich, że w całej posesji w ogóle nie było dzieci. Ale nie chcieli pytać; dobrze się czuli w odosobnieniu, zajęci jedynie sobą, stale w siebie zapatrzeni i rozkochani.

Któregoś dnia zbudził ich bardzo wcześnie Aszwajanc. Wszedł tryumfalnie, położył na stole dwa zawiniątka. „Szurka, wyłaź z łóżka! — zawołał na chowającą się pod prześcieradłem dziewczynę. — To dla ciebie!"

Z jednej paczki wydobyła parę ślicznych bucików z miękkiego, czerwonego safianu; z drugiej — sztukę cieniutkiego batystu.

— Garbata Tina umie szyć, pomoże ci. Starczy tego na kilka koszul i halek.

Zachwycona, wycałowała go w obydwa policzki i natychmiast upomniała się o materiał na spódniczkę.

— Patrz, wszędzie przeciera się. Jak pajęczyna, nawet cerować nie warto.

Obiecał i z tajemniczą miną wyjął zza pazuchy jeszcze jedno, małe zawiniątko. Wręczył Szurze szeroki pasek z takiegoż safianu, jak buty. Wypadł jej z rąk i ciężko łomotnął o podłogę. Schyliła się szybko, wyczuła palcami zaszyte w pasku twarde krążki.

— Grisza, co to?

— Złote monety. Żelazny kapitał na wszelki wypadek. Na rok dobrego życia starczy. To, gdyby się co ze mną stało...

— Co ma się stać!

— Któż to wie! Cegła na łeb zleci i — k a j u k! Wszyscy pod Bożą ręką chodzimy. O kieckę się nie martw. Choćby jutro przyniosę. A ot... — zawahał się. — Mam dla was niedobrą nowinę. Gadałem ze znajomym maszynistą. Do Ługańska jeździ dwa razy na tydzień. On by się i zgodził, ale palacza ma takiego ścierwę, że zdać się na niego nie można. Gotów wygadać, albo i donieść...

— Staś zgodził się zostać — powiedziała pospiesznie Szura. — Postanowiliśmy przezimować — prawda, Staś?!

Ormianin chwycił go w objęcia.

— I nie pożałujecie! Ptasiego mleka wam nie zabraknie. A na przyszłą wiosnę tak się zorganizuje, że ze wszystkimi wygodami pojedziecie.

Grisza dotrzymał słowa i następnego dnia Szura tańczyła z radości po pokoju, wtulając roześmianą twarz w piękny wełniany materiał na spódniczkę. Zaraz też zabrała się wraz z garbuską do krojenia i szycia. Postanowili, że po skończeniu pójdą na spacer na bulwary, a może nawet do kina. Aszwajanc objaśniał szczegółowo, jak najkrótszą drogą dostać się do śródmieścia. Prosił z naciskiem, by wrócili najpóźniej o zmierzchu.

— Wieczorami na bocznych ulicach niebezpiecznie. Napadną kupą, rozbiorą do naga. Zabierzcie Rozboja, w razie czego przyda się.

Im bliżej bulwarów, tym więcej było zrujnowanych, spalonych domów — niezaleczone rany po wojnie domowej, która przetoczyła się przez Rostów kilkakrotnie. Upał tego dnia nieco zelżał, na główne uliec wyległy tłumy spacerowiczów, że to właśnie było przedświąteczne popołudnie. Sporo młodych wojskowych w galifé i budionowkach, tu i ówdzie migała charakterystyczna, kołysząca się postać marynarza. Barwne gromadki dziewcząt, niektóre wystrojone, większość skromnie, a nawet nędznie ubrana. Czyściciele obuwia hałaśliwie przyzywali klientów, na każdym rogu sprzedawano s i e m i a c z k i, obdarte wyrostki i dzieci kręciły się, żebrząc i ordynarnie klnąc, gdy im odmawiano. Wszystkie ławki na bulwarach były zajęte. Z rotundy na placyku dobiegały dźwięki dętej orkiestry. Grano skocznego walca i kilkadziesiąt par kręciło się dokoła.

Staś czuł się z lekka oszołomiony. Wprawdzie to przeludnione popołudnie przypominało mu jejskie bulwary, gdzie, choć w mniejszej skali, też bywało tłumnie i gwarnie, ale od tamtego czasu minęło dwa lata. Pobyt na Czarnym Chutorze, Czełbaska stanica, step, przemierzany konno, otwarta przestrzeń. Jakby go przeniesiono w inny, obcy i wrogi świat. I gdy Szura, chcąc zbliżyć się do orkiestry, pociągnęła go za sobą, poczuł strach, chęć zawrócenia, powrotu do zacisznej altanki w ogrodzie, do widoku pajączka, godzinami biegającego po srebrzystej nitce.

Wydało mu się, że ktoś uporczywie w niego się wpatruje. Odwrócił się: tuż przy jezdni, między chuderlawymi krzewami stało dwóch obdartusów. Byli mniej więcej w jego wieku. Z wychudłych, ziemistych twarzy świeciły dwie pary oczu, zimnych, bezbarwnych, a pełnych spokojnej nienawiści. Wyższy splunął przez zęby, uczynił nieprzyzwoity gest, pokazał głową na Szurę.

— Isz, wysztafirowała się! Czerwone trzewiczki, burżujska jej mać!

Zapatrzona w tańczących dziewczyna, dosłyszała obraźliwe słowa. Obróciła się gwałtownie. Obdartus powtórzył nieprzyzwoity gest. Obydwaj zanieśli się zadowolonym śmiechem. Staś chwycił Rozboja za obrożę. Ten warknął i pokazał kły.

— Spływajcie stąd, gnojki! Portki i tak macie podarte, puszczę psa, resztę pościąga.

Wyższy cofnął się o krok.

— A ty się czego obrażasz? Pożartować nie można? Dałbyś lepiej cygarkę, jeśli masz! Jej-bo, od wczoraj dymka nie kosztowałem...

— Brudnego palucha possij! Fruwajcie, powiadam!

Odchodzili powoli, niechętnie, coraz to oglądając się na Stasia i Szurę. Przeszli na drugą stronę ulicy i udawali, że pilnie przypatrują się kinowym fotosom, wystawionym w oszklonej gablotce. Po chwili Staś zapomniał o całym zajściu.

— Ciekaw jestem, czy Barnaba, Stieńka i cała reszta ferajny już są w Rostowie. Prawie dwa tygodnie minęły. Jeżeli ich nie złapali, powinni już być.

— Mnie tam nie ciekawie — wzruszyła ramionami Szura. — Oni swoją drogą, my swoją! Dobrze, żeśmy raz od nich odczepili się.

Na bulwarach stawało się coraz ludniej. Gdy orkiestra przestawała grać, zaczynał huczeć megafon. Ktoś przemawiał do tłumów i polityczne hasła ulatywały nad głowami, jak ochrypłe, zardzewiałe ptaki. „Nowy gospodarczy etap... kapitalistyczne okrążenie... ster w pewnych dłoniach towarzysza Iljicza..."

Na Szurę stale zwracano uwagę, ten i ów ją zaczepiał, ale obeszło się bez przykrości. Z kina zrezygnowali, bo dziewczynie nie podobał się tytuł filmu, a zresztą z Rozbojem i tak by ich nie puszczono, a Staś nie chciał zostawiać psa na ulicy. Poszli do kiosku z chłodzącymi napojami, zażądali lemoniady.

(D. c. n.)

WARUNKI ŻYCIA w BIAŁYMSTOKU

Odbudowa bardzo zniszczonego Białegostoku postępuje powoli naprzód. Miasto wygląda jeszcze brudno i nieporządnie, bo z ruin i budowanych domów sypie się piasek, wapno, tynk itp., nie ma trawników a nawet chodników. Państwo wybudowało i buduje wprawdzie bloki mieszkaniowe, ale sytuacja mieszkaniowa jest ciągle jeszcze nierozwiązana. Za pokój z kuchnią trzeba dać 10—15 tysięcy złotych odstępnego i wtedy jeszcze nie wiadomo, czy urząd mieszkaniowy się zgodzi na przejęcie mieszkania. Za rok ukończy się może odbudowę dwóch głównych ulic, Lipowej i Sienkiewicza. W samym centrum miasta 3 czy 4 mieszkańców buduje wspólnie prywatny dom, o czym wszyscy mówią i co jest od kilku miesięcy główną sensacją miasta. Nie ma końca rozważaniom czy dobrze robią, czy stracą kapitał, czy nie — robi się nawet prywatne zakłady na ten temat., ale mimo wszystko śmiałkowie są przedmiotem podziwu i imponują mieszkańcom

●

Białystok ma własny teatr. Niedawno otworzono trzecie kino. Przez kilka miesięcy po przewrocie październikowym (1956) wyświetlano prawie wyłącznie filmy zachodnie — obecnie pół na pół. (FEC)

NIEZBĘDNY W DOMU, BIURZE I STOWARZYSZENIU
M. ARCTA
SŁOWNIK WYRAZÓW OBCYCH
33.000 WYRAZÓW, WYRAŻEŃ I PRZYSŁÓW CUDZOZIEMSKICH
408 STRON TRÓJSZPALTOWYCH NA DOBRYM PAPIERZE
Broszura: 35/- lub $6.00
OPRAWA REKSYNOWA Z TŁOCZONYM NAPISEM NA GRZBIECIE W OCHRONNEJ OBWOLUCIE
42/- lub $6.00
Przesyłka: 1/9 lub 25 c.
B. Świderski, 30 Buer Rd., London S.W.6

KANGOL
BERETY ANGOROWE w 15 różnych kolorach po hurtowych cenach, osiągają 200 zł. za 1 szt. 1 szt. dołącz. do innej paczki — 8/9; 12 szt. — £.4.5.0; 24 szt. — £.7.17.6
TOCZKI ANGOROWE do fasonowania na kilkanaście różnych sposobów, osiągają 250 zł. za szt. 1 szt. dołącz. do innej paczki — 10/9; 12 szt. — £.4.17.6; 18 szt. — £.7.0.0
CENTRALA WYSYŁKOWA
HASKOBA
121 Earls Court Rd., London, S.W.5
Tel: FREmantle 7888

MATERIAŁY, LEKARSTWA, ŻYWNOŚĆ
najszybciej, najkorzystniej, najlepiej
wyślesz przez
P. C. STORES
S. BREWKA
Queens Gate Terrace, London, S. W. 7.
Tel. KNI 0747

BRIDŻ

Bardzo uważnie trzeba rozegrać następującą grę. S gra cztery piki.

W zaatakował asem kierowym. Rozgrywka jest trudna. Mamy jeszcze lewę karową do oddania, idzie więc o to, by nie stracić więcej niż jedną lewę w atutach. Dlatego należy odblokować kiery przez zrzucenie krola. Dostajemy się zatem zaraz do ręki i mamy możność zagrania w kierunku dwóch figur atutowych na stole. Spada 10-tka i to jest znamienne. Jeżeli jest druga, kłopotów nie będzie, bo oddamy tylko na asa. Jeśli jest samotna trzeba grać bardzo uważnie. E zabije figurę asem, bo nic nie zyska przez jej przepuszczenie. Później walet pikowy ujawnia zły rozkład atutów. Musimy po zgraniu trefli przebić trzecie na stole. Teraz jest decydujący moment. Musimy przebić ósemką. Jest to drugie konieczne odblokowanie. Teraz zagrywając ze stołu możemy wyimpasować dziewiątkę atutową grając do ręki. Bez podwójnego odblokowania wygrać gry nie można.

Kazimierz Schleyen

	♠ D W 8 4 ♥ K 2 ♦ A K 7 6 5 ♣ A 2	
♠ 10 ♥ A 10 9 8 7 6 ♦ D 10 4 ♣ D 4 3	W N E S	♠ A 9 6 5 ♥ 5 4 ♦ W 2 ♣ W 9 8 7 5
	♠ K 7 3 2 ♥ D W 3 ♦ 9 8 3 ♣ K 10 6	

Już wyszła i jest do nabycia we wszystkich księgarniach polskich książka
p.t.:
„W SOJUSZNICZYM LONDYNIE"
DZIENNIK AMB. E. RACZYŃSKIEGO
1939—1945
150 stron. cena sh. 37/6 lub dol. 5.50 lub Frs. 25.50
Przesyłka sh. 1/9 lub dol. 0.25 lub Frs. 1.50

Polskie życie kulturalne

ŚMIERĆ POETY PRACY

W nocy z wtorku na środę, 27 lipca 1960 r. zmarł nagle Tadeusz Sułkowski, poeta i krytyk. Pogrzeb jego odbył się w piątek dnia 5 sierpnia na cmentarzu Hampstead. Spoczął on w tymczasowym grobie. Miał przyjaciół i licznych kolegów po piórze w Londynie, ale całą rodzinę w Kraju i z jej strony powstała inicjatywa przewiezienia jego ciała do grobu rodzinnego w Skierniewicach, w którym spoczywa już jego matka. W Skierniewicach urodził się 15 października 1907 r.

Po żałobnej mszy św. odprawionej za duszę śp. Tadeusza Sułkowskiego przed ołtarzem św. Józefa w Brompton Oratory, spore grono przedstawicieli świata politycznego, literackiego i artystycznego zebrało się dokoła otwartego grobu, w którym spuszczona już była trumna ze zwłokami. Pierwszy zabrał głos prezes Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie **Wiesław Wohnout**, żegnając odchodzącego również w imieniu Fundacji Domu Pisarza Polskiego. Sułkowski umarł podobnie jak Ludwik Rubel, nagle, tyle, że nie w drodze do pracy, ale po pracy codziennej. Nie zdradzał żadnego zmęczenia, ani osłabienia. Los szczęścia zaczął się ostatnio do niego uśmiechać. Miał możność pracy literackiej dla rozgłośni Wolnej Europy. Niemniej okazuje się, że był śmiertelnie znużony, bo — jak podkreślił Wohnout — nie łatwo być poetą i to zwłaszcza na emigracji.

Przy tej sposobności mówca wspomniał o inicjatywie, jaka wyszła z grona przyjaciół Sułkowskiego, również poetów, aby dwie instytucje z którymi zmarły by bliżej związany: Związek Pisarzy, którego był nie tylko członkiem, ale i długoletnim sekretarzem, oraz Fundacji Domu Pisarza Polskiego w Londynie, której oddał tyle swoich wysiłków, zajęły się zebraniem rozrzuconych po czasopismach utworów Tadeusza Sułkowskiego i aby je wydały w postaci tomu wierszy zebranych, razem z ukończonym niedawno wielkim poematem pt. „Tarcza".

W imieniu najbliższych przyjaciół zabrał następnie głos **Czesław Bednarczyk**, poeta i drukarz, podnosząc wielką wartość przyjaźni. Jeżeli wszystko straciłeś — mówił — wszystkie majętności, zaszczyty, tytuły, ale zachowałeś przyjaciela, jesteś najbogatszym człowiekiem na świecie. O poecie Tadeuszu Sułkowskim będą mówić, bo poeci żyją w przyszłych pokoleniach, będą się nim zajmować, bo poeci są potrzebni. „Potrafiłeś być przyjacielem, Tadeuszu, i to może nawet jest trudniejszą rzeczą, niż być poetą".

Po tych słowach podchodzili żałobnicy do otwartej mogiły, przy której leżały wieńce i wiązanki kwiatów, rzucając na trumnę grudki ziemi, mocno dudniące o zamknięte wieko. Byli wśród nich dr **Witold Czerwiński**, prezes Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego, był b. min. **Adam Pragier**, gen. **Tadeusz Pełczyński**, prof. **J. Wieniewski**, dr **L. Kielanowski**, i w. inn. Nie brakło przedstawicieli młodego pokolenia: **F. Śmieji, B. Czaykowskiego** i inn. Potem mogiłę nakryto wiekiem z desek na których ułożono kwiaty i wszyscy się powoli rozeszli.

Pamięci zmarłego poety poświęcamy wspomnienie pióra Józefa Łobodowskiego na str. 6.

●

KANCELARIA PRAWNA
pod kierownictwem doktora praw
S. OLŚNICKI
Tłumacz przysięgły przy sądach francuskich
106, Rue Jouffroy — Paris 17-e
Metro Wagram
tel. WAGram 88-91
Tłumaczenia urzędowe do ślubów, naturalizacji, sprowadzania rodzin i t. d.
Wszelkie sprawy sądowe, cywilne i karne we Francji i w Polsce.
Pełnomocnictwa.
Revenu sûr, garantie totale, alors je souscris!
Emprunte 1960
CHARBONNAGE DE FRANCE

Wspomnieć należy o zorganizowanym z wielką starannością **„Koncercie Młodzieży" w „Hołdzie Szopenowi w 150 rocznicę urodzin"**, urządzonych przez wychowanków **Średniej Szkoły Przedmiotów Ojczystych im. Bolesława Chrobrego, Londyn-Południe.** Koncert ten odbył się w Sali Zebrań Katedry Westminsterskiej. Wystąpiły na nim uczennice i uczniowie w liczbie 12 następujących profesorów muzyki: **prof. S. Niekraszowa, M. Jankowska, Jadwiga Malankiewicz, Marian Nowakowski, prof. Ethel Schwarz i pp. W. H. Sanders i G. Booth.** Poza deklamacją „Ojczyzny Szopena" S. Balińskiego przez **B. Klakównę** i występem tanecznym **K. Kopczynskiej**, w pierwszej części wykonano przeważnie utwory fortepianowe Szopena, a w drugiej utwory kompozytorów klasycznych i nowoczesnych. Wśród wykonawców byli: **A. Kozicka, M. Osodiwa, J. Mossakowska, A. Potocki, W. Nowakowska, I. Wiąckówna, H. A. Nowakówna, T. Bilińska, K. Markówna i R. Weber.** Udanemu koncertowi patronowali: **pp. prof. J. Kropiwnicki, prof. S. Niekraszowa, M. Nowakowski i pp. M. Jankowska, J. Malankiewicz oraz E. Sobieralski** (n)

KRZYŻÓWKA KONKURSOWA Nr. 382/60

Znaczenie wyrazów

Poziome: 1) i 5) wybitny polski malarz, opiekun kapistów; 8) ostrze; 9) i 11) błędny dowód, którego celem jest oszukanie; 12) heros; 13) i 14) pająk; 16) chata bez komina; 19) wzgórze w Jerozolimie, symboliczne państwo Boże; 21) największy przestępca na wsi; 23) i 25) na ulicy i na brzegu morskim; 24) owad.

Pionowe: 1) pisarz francuski; 2) szyk (wspak); 3) mogą się śnić matematykom; 4) imię Norwida; 5) malarz flamandzki z 14 i 15 wieku; 6) zwrot, dialekt; 7) doceniasz ją u innych; 10) pisarz skandynawski; 11) Płut z Rykoewm zjedli 23; 13) ptak; 15) zużyty metal; 16) drugie imię Norwida; 17) w piosence jest wielką damą, gdy ma wychodne; 18) najlepszy na talerzu w sosie śmietanowym; 19) wysepka koło Jersey; 20) miasto ważnego soboru; 21) w butach jest tylko scenie; 22) u Szołochowa płynie spokojnie.

Termin nadsyłania rozwiązań 25 września 1960.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI KONKURSOWEJ nr. 374/60

Poziome: 1) i 5) Nad Niemnem, 8) bagno, 9) inna, 11) żona, 12) Soliman, 13) i 14) kocica, 16) basta, 19) takoż, 21) Delacroix, 23) i 25) marcepan, 24) San.

Pionowe: 1) Narwik, 2) demon, 3) izba, 4) Jagusia, 5) Ezop, 6) organ (wspak), 7) Michał, 10) Ascot, 11) żniwa, 13) Krak, 15) Goya (wspak), 16) begum, 17) ulga (wspak), 18) łacha, 19) [illegible] 20) żupan, 21) dar, 22) pax (wspak).

Lista nagród będzie ogłoszona w następnym numerze.

LIST DO REDAKCJI

OD STOWARZYSZENIA LOTNIKÓW POLSKICH

Szanowny Panie Redaktorze!

W „Krajowej Agencji Informacyjnej", (nr 29, rok VI, strona 17) wydawanej w Polsce, została umieszczona wzmianka, iż w przeddzień uroczystości grunwaldzkich Stowarzyszenie Lotników Polskich w Wielkiej Brytanii było reprezentowane na uroczystości dosypywania ziemi z pobojowisk na których walczyli żołnierze polscy do urny ustawionej przed pomnikiem Nieznanego Żołnierza w Warszawie.

Pragniemy stwierdzić, że Stowarzyszenie Lotników Polskich w Wielkiej Brytanii nie wysyłało delegacji i nie upoważniło kogokolwiek do reprezentowania Stowarzyszenia na tej uroczystości.

Łączę wyrazy należytego szacunku,

Jerzy Bajan
Prezes Stowarzyszenia
Lotników Polskich
w Wielkiej Brytanii
14, Collingham Gardens
Londyn, S.W. 5

27 lipca 1960 r.

Wiadomości społeczne

Z W. BRYTANII

ZAKOŃCZENIE NAUKI w POLSKIEJ SZKOLE

Uroczyste zakończenie nauki w polskiej szkole sobotniej w Bradford rozpoczęto od nabożeństwa w miejscowym polskim kościele M. B. Częstochowskiej, gdzie ks. mgr. **Ernest Chowaniec** wygłosił podniosłą naukę do gromady 400 dzieci szczelnie wypełniającej kościół.

Następnie w budynku szkolnym (stary Dom Kombatanta) dokonano w klasach rozdania 360 świadectw szkolnych rejestrujących wyniki nauki za ostatni rok. W dniu zakończenia szkoły dwie klasy prowadzone przez p. **Walerię Zujartowską-Markianowicz** miały popisy dla rodziców. Inne młodsze klasy, odbyły takie same popisy wcześniej grupami.

Klasy pp. **Gustawa Żeromskiego i Borysa Jakowlewa** oraz II i III klasa gimnazjum prowadzona przez p. **Annę Kroch-Soroka** odbyły popisy w sali Domu Kombatanta, przy czym klasy gimnazjum ujęły je w formę wieczoru ku czci wielkiej poetki Marii Konopnickiej.

Tę wieczorną uroczystość, odbytą w obecności bradfordzkich księży i działaczy społecznych z prez. SPK **mjr. Marcinem Czechowiczem** na czele, zagaiła kierowniczka szkoły p. **Janina Wysocka.** Ks. mgr. **Ernest Chowaniec**, jako przewodniczący Komitetu Szkolnego wygłosił okolicznościowe przemówienie do dzieci i rodziców, a p. **Anna Kroch-Soroka** wygłosiła ujmujący odczyt o życiu i twórczości Marii Konopnickiej.

Niewielki portret poetki w otoczeniu bukietów polnego kwiecia i skromnych emigracyjnych wydań jej książek dał tło nastrojowe do recytacji uczennic i uczniów gimnazjum. Bardzo dobrze wypadły zbiorowe recytacje wierszy Marii Konopnickiej. Świetną recytacją wiersza „Przed sądem" wyróżnił się **Przemko Kipp.** Chór szkolny pod kierownictwem p. **Bolesława Korbut-Karafy** odśpiewał pieśń „Myśmy przyszłością narodu".

Wreszcie wymaga podkreślenia fakt, że obok świetnych wyników nauki dzieci, ich rodzice mogą się poszczycić równie pięknym osiągnięciem, gdyż w tym roku z opłat za szkołę wprowadzili do kasy Komitetu Szkolnego £1020, a więc blisko £300 więcej niż w r. ub.

FESTYN KLUBU PRZYJACIÓŁ DZIECI I MŁODZIEŻY

W tydzień po zakończeniu szkoły, grupa działaczy Klubu Przyjaciół Dzieci i Młodzieży zorganizowała w Domu Kombatanta wielki festyn na otwartym powietrzu, który zgromadził ok. 400 osób. Na grach, zabawach i loteriach upłynęło całe popołudnie. Największy wkład pracy w przygotowanie festynu włożyli **pp. Kowalczyk, Piwowarski i Kwiatkowski**, a na imprezie największe osiągnięcie miały panie **Orłowska, Seligmanowa, Przybylska i Kwiatkowska** rozsprzedając 3.000 biletów na loterię. Czysty dochód z festynu, w całości przeznaczony na utrzymanie jednego z budynków szkoły polskiej, wyniósł okrągło **£110.**

YORK
STARE, ZNAJOME KĄTY

Bezpośrednio po wojnie rejon Yorku był miejscem jednego z najliczniejszych skupisk polskich, gdyż tu właśnie demobilizowała się 2 Warszawska Dywizja Pancerna gen. Bronisława Rakowskiego z kwaterą główną w Sand Hutton Hall. Jednak rejon rolniczy tej części Anglii nie sprzyjał osiedleniu Polaków. Gromadnie wynieśli się do zachodniej części Yorkshire, gdzie w miastach przemysłowych osiadali całymi tysiącami.

Gdy dziś, po latach, w celu turystycznym, odwiedzi się stary York, miasto o pięknych tradycjach, ogromnej katedrze i imponujących murach zamykających pierścieniem całe centrum, o Polaków trudno się dopytać, bo pozostała tu gromadka i to bez żadnej organizacji, chyba nie więcej niż pięćdziesięciu Polaków.

Z osób szerzej znanych osiadł tu artysta malarz **rtm. Michał Siemiradzki.** w katolickim Ampleforth College pod Yorkiem jest zatrudniony **ppłk. Z. Dudziński, mjr. J. Zbroski ma pod Malton** farmę końską, **podch. Rymkiewicz** osiadł Stamford Bridge, a ostatnio nabył w Yorku księgarnię **p. Jan Jamiurek.**

Od szeregu lat jest też parę mil od Yorku w East Moor polski hostel rodzinny, ostatnio szybko topniejący, bo w najbliższych miesiącach ulega całkowitej likwidacji.

WYCIECZKA DO BOLTON ABBEY

Koło SPK z Leeds zorganizowało dużą wycieczkę do ruin starego opactwa w Bolton Abbey w północnym Yorkshire, nad brzegiem rzeki Wharfe. W wycieczce wzięło udział 84 osoby wypełniając dwa autobusy. Niestety niezbyt dopisała pogoda. Ograniczono się zatem do zwiedzenia imponujących ruin 12-wiecznego opactwa i sąsiadującego z nim znacznie nowszego Bolton Hall, siedziby magnackiej.

Całością wycieczki kierował referent imprezowy Koła p. Wacław Sielicki.

Z FRANCJI

KOMBATANCKA MANIFESTACJA NA CMENTARZU HALLERCZYKÓW W AUBERIVE

Doroczna manifestacja ku czci poległych Hallerczyków na cmentarzu w Aubérive weszła już w tradycję. W tym roku odbyła się ona w niedzielę 24 lipca, staraniem Koła b. Wojskowych wspólnie z komitetem złożonym ze wszystkich organizacji polskich tej miejscowości. Zjechali się na tę uroczystość kombatanci ze swymi rodzinami z Troyes, z Revin, z Homecourt i rodacy zamieszkujący okolice Reims, Aubérive i Mormelon.

O godz. 11. odbyła się na cmentarzu msza św. polowa na intencję niedawno zmarłego śp. Generała Józefa Hallera oraz spoczywających na cmentarzu w Abérive jego żołnierzy. Kazanie wygłosił **ks. Chorzela z Joeuf** (Moselle). Z dalekiego Lailly-en Val gdzie kieruje polskim schroniskiem dla uchodźców, przybył **gen. Wacław Piekarski.** Federację Polskich Obrońców Ojczyzny reprezentował prezes Fr. Kędzia, Zarząd Główny Związku Rezerwistów i b. Wojskowych — **kol. Leon Strutyński**, sekretarz Generalny i **Józef Wachowiak**, skarbnik. Okręg 111 Dourges reprezentowali: **prezes Romanowski i sekretarz St. Jasiński**, którym towarzyszyły małżonki. Z prezesów obecni byli także **kol. Rezulak z Harnes, kol. Feledziak z Auby, kol. Matuszak, kol. Nędza z Carvin.** Zauważyliśmy **państwa Tyślińskich z Hénin-Liétard, p. Strutyńską** i wiele innych. Uroczystością kierował **kol. A. Okupny** — prezes Koła Troyes. Zjechało się 20 pocztów sztandarowych. Nabożeństwo uświetniła orkiestra pod dyrekcją **p. Leśniczyka i chór kościelny z Troyes.**

Po nabożeństwie zostały złożone kwiaty, następnie prezes Kędzia wygłosił przemówienie po polsku i po francusku, podkreślając zasługi i poświęcenia zmarłego generała i poległych jego żołnierzy. **Gen. Piekarski** wygłosił szkic historyczny o przebiegu walk na tym terenie w 1918 r. i nakreślił udział w nich „armii błękitnej. Na zakończenie prezes **Okupny** podziękował księdzu celebrantowi i wszystkim tym, którzy przybyli na tę uroczystość.

Dla wypoczynku i spotkania, zeszli się potem Polacy i Francuzi w pobliskim lasku, gdzie przy dźwiękach orkiestry i dobrym śniadaniu gawędzili przyjaźnie i po sąsiedzku. Przed rozjechaniem się wieczorem, każdy obiecywał sobie nowe spotkanie w przysz. roku dla wznowienia tak wzniosłej uroczystości, za urządzenie której należy się szczere podziękowanie organizatorom. W powrotnej drodze wycieczka z Pas-de-Calais zatrzymała się w Reims dla zwiedzenia katedry i innych pięknych zabytków tego historycznego miasta. Późną już nocą powrócono do domów z przeświadczeniem jednak pożytecznie spędzonego dnia — i dla sprawy polskiej, i dla obowiązku kombatantów polskich we Francji. Organizatorom takiej manifestacji należy się prawdziwe uznanie. F. K.

PIERWSZY KWARTAŁ W EWIDENCJI PARTYJNEJ

„Trybuna Ludu" informuje, że w pierwszym kwartale tego roku przyjęto do partii 40,9 tysięcy nowych kandydatów, a 514 „towarzyszom" przywrócono prawa członkowskie. W tym samym czasie ubyło z partii ponad 10 tysięcy. Stan liczebny zwiększył się w rezultacie o 31 tysięcy osób. Największy przyrost zaobserwowano w organizacji białostockiej, natomiast w organizacji stołecznej zmniejszył się stan liczebny o 700 członków.

Wśród wydalonych z partii najwięcej, „bo aż 58% stanowią pracownicy umysłowi, 30% robotnicy i 8% chłopi". Natomiast wśród skreślonych z ewidencji „najliczniejszą grupę stanowią robotnicy, następnie pracownicy umysłowi". Stąd wniosek, że inteligencja partyjna jest moralnie i ideowo najsłabsza, a wśród robotników jaskrawiej niż w innych grupach przejawia się tendencja do uchylania się od aktywnego udziału w pracach partii.

Najczęściej powtarzającym się powodem wydalenia z partii — pisze dalej „Trybuna" — są nadużycia finansowe, kradzieże, łapownictwo, wykorzystywania stanowiska służbowego dla osiągnięcia korzyści materialnych, pijaństwo. Za tolerancję wobec nadużyć wykluczono 28 osób, za zaniedbywanie obowiązków służbowych 69, za nadużycia władzy i łamanie praworządności „ludowej" — 42.

Cały artykuł i dane statystyczne, które „Trybuna Ludu" ujawniła, raz jeszcze potwierdzają tezę, że czystki, jakie zaczęły się w PZPR wkrótce po objęciu władzy przez Gomułkę, nie ustały do dzisiaj. Innymi słowy partia nadal daleka jest od unifikacji dokoła osoby i programu Gomułki, jakkolwiek proces wewnętrznego rozkładu został o tyle przyhamowany, że wystarcza obecnie dla podniesienia „morale" postawienie poza nawias partii około 10 tysięcy członków w ciągu I kwartału 1960 roku. W roku ub. przeciętna ta wynosiła od 12 do 15 tys. na kwartał. (FEC)

POLSKI FILM RYSUNKOWY NAGRODZONY W KANADZIE

W kanadyjskim mieście Vancouver zakończył się ostatnio międzynarodowy festiwal filmów krótkometrażowych i dokumentalnych. Na festiwalu tym pokazano 85 filmów z 28 krajów. Trzy główne nagrody przyznano: Czechosłowacji za film kukiełkowy **„Pan Prokouk-akrobata"**, Polsce za film rysunkowy **„Kotek i myszka"** oraz Kanadzie za film **„Wszechświat".** (FEC)

RADIO I TELEWIZJA W POLSCE

Według danych Głównego Urzędu Statystycznego, ogłoszonych w „Trybunie Ludu" (nr 201), liczba radioaparatów wynosiła w Polsce w czerwcu br. 5 mln. 144 tys. W porównaniu ze stanem w dniu 31 grudnia 1959 r. jest to wzrost o 213 tysięcy abonentów.

Liczba abonentów telewizji wynosiła w tym samym okresie 311 tysięcy, co — jak informuje wspomniane wyżej źródło — stanowi wrost o 73 tysiące w porównaniu ze stanem z dnia 31 grudnia 1959 roku.

(FEC)

Na akcję Pomocy Chorym w Kraju złożyli: Kapitan Jan Jaworski — 4014 Lbr. Soc. Co — 24,00 NF. — por. Kazimierz Józefczyk — 4505 Lbr. Soc. Co — 60,90 NF. Składamy serdeczne „Bóg zapłać".

Ś. † P.

IRENA Z LESZCZYŃSKICH KRUSZEWSKA

urodzona 5 kwietnia 1891 r. w majątku Ruszcza w Polsce. Po długich i ciężkich cierpieniach zasnęła w Panu dnia 5 sierpnia 1960 r. w Juan-les-Pins (Francja) i pochowana 8 sierpnia na cmentarzu w Antibes, o czym zawiadamiają pogrążeni w głębokim żalu

Mąż we Francji, Córka i Zięć w Argentynie, Siostry w Kraju i Przyjaciele we Francji.

Z TEATRU

KAMELEON I OFIARY

DWIE SZTUKI JONESCO

Po kilkuletnich, bezowocnych próbach dostania się na sceny teatrów angielskich, Eugeniusz Ionesco przeniósł się do Francji, zamieniając jedną przybraną ojczyznę na drugą. Francja, jak zawsze, żywsza od Anglii i nowinkom przychylniejsza, przyjęła go z życzliwością, która szybko przerodziła się w entuzjazm. Dzisiaj urządza się już festiwale Ionesco, teatry dobijają się o niego i znajomość jego sztuk jest jednym z obowiązków każdego szanującego się snoba. W tej chwili w trzech teatrach naraz idą sztuki Ionesco. Zwycięstwo to jednak jest tylko częściowe, on sam zresztą zdaje sobie z tego sprawę i głośno się zżyma: po pierwsze, w tej chwili rzeczywiście trudno jest odróżnić, gdzie kończy się snobizm i zaczyna prawdziwy szacunek dla artysty, po drugie, krytycy go nie lubią. Zarówno prasa francuska jak i angielska rzadko mają coś dobrego o nim do powiedzenia. Dawny antagonizm pozostał: Ionesco nienawidzi krytyków, ci zaś zbywają go wzgardą lub drwiną.

Ionesco jest trudny do recenzowania, sztuki jego — albo wcale nie nadają się do opowiedzenia, albo też treść ich jest banalna aż do mdłości. Toteż leniwsi krytycy dochodzą do wniosku, że sławny autor jest po prostu głupim i sprytnym kuglarzem, a inteligentniejszych denerwuje niemożność zdefiniowania, na czym to polega.

Z drugiej strony trudno jest przypuszczać, że ta cała jego sława jest jedynie wynikiem mody i źle pojętej nowoczesności. Jest coś w sztukach Ionesco, co w jakiś sposób zaspakaja widza i absurdalną tą metodą komentuje bezsens współczesnego istnienia.

Dwie jednoaktówki wystawiane w tej chwili przez „Arts Theatre" są jaskrawą ilustracją dualizmu Ionesco. „The Shepherd's Chameleon" jest namiętną i naiwną rozprawą z krytykami. W sztuce występuje sam Ionesco i trzej krytycy. Ich bezsensownym regułom przeciwstawiona jest pasja autora, który domaga się prawa wolnego tworzenia z „własnych snów, własnej udręki, ciemnych namiętności, wewnętrznych zmagań". „Krytyk powinien opisywać, a nie wystawiać recepty" — twierdzi Ionesco. Wszystko to jest niby słuszne, ale równocześnie słuchanie oświadczeń o ionescowej genialności jest żenujące, tym bardziej, że autorowi nie tyle chodzi o jakąś ogólną zasadę ile o nietykalność osobistą. A przecież wolność jest między innymi prawem do krytyki.

„Victims of Duty" jest jedną z tych wypraw Ionesco w nonsens, które oczarowują część widzów, a resztę doprowadzają do rozpaczy. Treść jest mniejwięcej taka, że w spokojnym domu mieszczańskim zjawia się ugrzeczniony policjant, który nagle przemienia się w brutalnego policjanta, zmuszającego pana domu do coraz dalszych wypraw w głąb swej pamięci i podświadomości, by tam odszukał kogoś poszukiwanego przez policję. Wyprawy te odsłaniają banalne dramaty i pospolite marzenia biednego urzędnika. Potem pojawia się jakaś panienka i poeta, który zabija policjanta, po to by przejąć jego rolę. Podobne streszczenie nie oddaje jednak niepokojących zalet Ionesco. Sztuka ta przypomina raczej jakiś naturalistyczny obraz, który został rozbity i z powrotem bezładnie złożony. Ionesco ma świetne ucho do rozmów idiotów. Śledzi się z zainteresowaniem i radością fragment dialogu tak znany i banalny, jak melodia szlagieru stokrotnie słyszanego, bo chwilę po tym wszystko się rozsypuje jak spopielałe płótno, by zacząć od nowa i z powrotem utonąć w grotesce. Jest to nietyle zakłócenie logiki ile schizofreniczna niemożność logicznej percepcji. Widz polski ze smutkiem i wstydem powinien przypomnieć sobie sztuki Witkacego, pisane trzydzieści lat temu, o tyle świetniejsze w błyskotliwej ironii, intelektualnym nonsensie, wielkości inteligencji. Zapomniane, zagrzebane, leżą nieznane światu. Ionesco nie dostaje inteligencji, ani też nie dorównuje polskiemu pisarzowi w umiejętności zintelektualizowania absurdu. Wyobraźnia jego nigdy nie wykracza poza mieszczański banał, osuwając się co chwila w sentymentalizm.

Obie sztuki, starannie wystawione, świetnie były grane przez Keitha Marsha. Na tle niezbyt inteligentnego zespołu jego subtelna i pełna wrażliwości gra zdumiewała głębokim humanizmem i rzadko spotykanym na scenach angielskich ciepłem. Dekoracje, jak zwykle w tym teatrze za ciężkie, za nadto i zbyt oczywiście podkreślające intencje autora. Widz niczego nie musi się domyślać, wszystko aż do przesady jest pokazane.

Maria Niemojowska

KOBIETA, WINO, DANCING — JESZCZE RAZ

Wznowienie w Londynie po raz drugi w niespełna 10 lat sztuki Stefana Kiedrzyńskiego „Kobieta, wino, dancing" wskazuje, jaką to szczególną żywotność wykazują sztuki drugorzędnych autorów dramatycznych. Sztuki Kiedrzyńskiego (1888-1943) były popularne w okresie dwudziestolecia niepodległości i — jak się okazuje — są nimi nadal na emigracji. Z okazji pierwszego wznowienia była sposobność stwierdzenia czemu zawdzięcza Kiedrzyński swe powodzenie. (Patrz „Orzeł Biały", nr. 13/508 z 29 marca 1952 r.).

Tym razem jako okoliczność łagodzącą dla ponownego wznowienia zaliczyć by można to, że nastąpiło ono nie w środku sezonu teatralnego, jak w r. 1952, ale w okresie przysłowiowych ogórków. Jeśli idzie o stronę czysto teatralną, to należyte obsadzenie tej sztuki nie jest bynajmniej łatwe. Dla dnia dzisiejszego obciążeniem tylko jest to, że kiedyś grały w niej takie tuzy jak Maszyński czy Mila Kamińska. W teatrze Polskim w Ognisku, wystawiającym tę sztukę w reżyserii Stanisława Zięciakiewicza i pod administracją Bena Kollera, musiano się odważyć na bardzo ryzykowny eksperyment. Główną rolę amanta obsadzono przez debiutującego amatora, którego głównymi kwalifikacjami są warunki zewnętrzne i zapał. P. Marian Czerniewicz w roli porucznika Kazimierza Szadurskiego, pomijając jego wielką i zrozumiałą tremę na premierze, mało miał swobody i wyrobienia aktorskiego.

Bogdan Urbanowicz, jako kochliwy obywatel ziemski, Tomasz Wareński, w podeszłym wieku lat 68, wykazał swe opanowanie rzemiosła aktorskiego, nie wnosząc jednak do swej sylwetki momentów komediowych odbiegających od chwilami nazbyt surowego realizmu. Uwodzicielkę Wandę, a przy tym niewierną żonę, grała p. Zofia Conrad-Mroczkowska, wysuwając się opracowaniem roli na czoło zespołu, mając zresztą największe pole do popisu. Jak zawsze urocza i bardzo na miejscu była p. Ewa Suzin w roli rozsądnej Madzi Horynkiewiczówny, wychowanki Wareńskiego, zakochanej w młodym poruczniku-szaławile.

P. S. Zięciakiewiczowi przypadła rola urzędnika Izby Skarbowej Konstantego Borkowicza. Ta nawskroś groteskowa postać, wyzbyta wszelkiej stylizacji, podana w sosie realistycznym, musiała wypaść ociężale. Służącego Franciszka w dawnej i nowej obsadzie odtwarzał Feliks Stawiński. Dekoracje Jana Smosarskiego utrzymane były w charakterze całej inscenizacji i miały udatnie rozwiązaną perspektywę na zamglone okoliczne podgórze.

Jakkolwiek sztuką tą repertuar teatru emigracyjnego bynajmniej się nie wzbogacił, to jednak przyczyniła się ona przynajmniej do utrzymania ciągłości sezonu teatralnego do czasu, gdy teatr będzie się mógł zdobyć na bardziej interesujące wystąpienie. Jest to typ sztuki, który od dłuższego czasu przeważa w naszym repertuarze i do którego teatr stara się nas usilnie przyzwyczaić. To stępia wrażliwość widza, któremu trudno byłoby i tym razem powiedzieć, choćby po ostatnich sztukach Kiersnowskiego, że komedia Kiedrzyńskiego była najweselszym widowiskiem tego wcale nie wesołego sezonu teatralnego. **(On)**

UWAGA! — KACETOWCY

Zarząd Związku b. Więźniów Politycznych niemieckich więzień i obozów koncentracyjnych zwraca się do wszystkich b. Kacetowców, zmuszonych w czasie wojny do pracy w zakładach firmy **KRUPP, o podanie pisemne do 15 września** 1960 r. pod adresem Związku (18, Queens Gate Terrace, London, S.W.7.) **szczegółowych danych z tą pracą związanych,** tj. obozu, z którego zostali do **pracy wysłani, okresu, w jakim zakładzie koncernu pracę wykonywali oraz swego obecnego adresu. Dane te potrzebne** są ze względu na **starania Związku o wypłatę odszkodowań** dla b. **polskich więźniów obozów koncentracyjnych za pracę niewolniczą w koncernie KRUPPA.**

TEODOZYA LISIEWICZ — RECENZJA

DWA CZASY W JEDNYM

Skończyłam właśnie pamiętniki Janiny z Puttkamerów Żółtowskiej „Inne czasy — inni ludzie", kiedy wpadło mi do ręki krajowe „Słowo Powszechne" z 30 czerwca 1960, a w nim recenzja Cat-Mackiewicza. Książkę czytaną raczej pobieżnie, jak przyjemną lekturę dla dorastających panienek z ubiegłego wieku, otworzyłam z powrotem. Cat bowiem atakuje autorkę twierdząc, że jej wspomnienia przepojone są nienawiścią do wszystkiego co ją otaczało za lat dziecinnych. Szukając więc podstawy do podobnie ostrej oceny, podanej zresztą w niewybrednych słowach, tym razem przeczytałam książkę uważnie.

Sąd Cata nie jest może przemyślany. Z oburzeniem zarzuca autorce nie tylko nienawiść do otoczenia ale i do krajobrazu rodzinnego, ponieważ autorka książkę kończy słowami: „Jeżeli oddalałam się z Dereszewicz bez żalu, to z Bolcienikami rozstawałam się z uczuciem ulgi. W dzieciństwie ich nie lubiłam..." Dopiero po uważnym przeczytaniu całości widzi się, że zdanie to nie tyczy krajobrazu, lecz atmosfery domu, o czym autorka mówi niejednokrotnie i to tak szczerze, że chwilami zakrawało by to na naiwność, gdyby czytelnik wnet nie spostrzegł że wynika tylko z rozbrajającego braku samokrytycyzmu.

Krajobraz, to najsilniejsza więź autorki z jej latami dziecinnymi i pisze o nim jak ktoś, kto nie tylko widzi i czuje, ale kto również myśli. Jedyny tu temat ujęty myślą żywą i czującą. „Zawracało się wzdłuż rzeczki w parów, gdzie nisko nad ruczajem rósł stary dąb, na którego pniu był zawieszony święty obrazek; nigdzie mgiełka wiosennych liści nie wydawała się bardziej czarowna, jak w tym parowie, nigdzie jesienią dębowe i klonowe liście nie szeleściły gęściej pod nogami. Latem kula słońca, która gasła w ciepłym piasku za dereszewicką wioską, tędy między pniami drzew wysyłało swoje ostatnie blaski...". „Dereszewicze pozostaną na zawsze złączone ze wszystkim co w młodości oznaczało dla mnie zabawę, przywiązanie i wspomnienia pełne radości..."

„... jak dla mnie Wilno było osnute rodzajem mgły, Warszawa leżała tak daleko że prawie za granicą, a tam gdzie rosłam i czułam się szczęśliwa, czyli w Dereszewiczach, znajdowało się serce Polski. Sądzę, że każdy, kto pamięta te czasy na Litwie i Rusi, czuł taki sam stosunek do rodzinnego dworu'.

Z powodu tych zdań, zakończenie książki istotnie zaskakuje, lecz nie może oburzać. Musiało tam z biegiem lat coś stanąć między autorką a Dereszewiczami, skoro „oddalała się od nich bez żalu". Nie świadczy to jednak o nienawiści.

O ile krajobraz — który w zasadzie powinien być drugoplanowy — jest pełny i żyje, o tyle same wspomnienia są jego przeciwieństwem. Pisane szczerze, bez wątpienia, lecz ich szczerość nie wypływa z głębi. Trudno więc posądzać autorkę o nienawiść, ponieważ uczucie to, chociaż ujemne, przecież też wynika z jakiegoś głębszego podłoża. Autorka tymczasem, która posiada umysł bardzo bystry, dar obserwacji i wrażliwość artystyczną, opisując nie tło, lecz rodzinę, nie daje czytelnikowi nic prócz fotografii. Zdumiewających dokładnością szczegółów, lecz jedynie fotografii. To nie przyjemne zdjęcia uchwytujące jakiś gest, czyjś wyraz, nastrój chwili, lecz fotografie jakby upozowane w salonowym atelier z ubiegłej epoki, z nieodłączną palmą i balustradką. Aparat, którym robi swoje zdjęcia, posiada objektyw lecz pozbawiony jest kamery. W ludziach dostrzega tylko nazwisko i wygląd zewnętrzny — poważniejszej oceny nie ma. Jej ludzie to figury woskowe. A jeśli stara się czasem naświetlić jakąś postać czy zdarzenie, od razu gubi się w chaosie własnych, nieuporządkowanych pojęć — afektacji bez emocji i romantyzmu bez podgleba, z którego rodzi się myśl twórcza. — O ile jej krajobraz staje przed czytelnikiem jasny, o tyle wieś związana z krajobrazem jest dziwnie bezbarwna. Dla niej życie wiejskie to tylko nastrój zależny od pogody i pór roku. Nie czuje się w nim żadnej symbiozy człowieka z otaczającym go światem zwierząt i zieleni, elementów które tworzą ciepło wiejskiego domu. Przede wszystkim nie ma w nim człowieka. Autorka innego środowiska prócz krewnych nawet nie dostrzega. Ma się wrażenie, że w dużym bolcienickim dworze żyją tylko trzy obce sobie osoby — matka, ojciec i córka. Czwarta, która zjawia się w tej pustce, to wychowawczyni, ale i ona znika po kilku latach nie przekazując czytelnikowi żadnego cieplejszego wspomnienia.

●

Najważniejszym węzłem w pamiętniku byłyby dzieje Maryli i Mickiewicza. Czytelnik czeka na to. Niestety, spotyka go zawód. Cat pisze, że od kogo jak od kogo, ale właśnie od autorki z domu Puttkamer, prawnuczki Marysi Wereszczakówny, wymaga czegoś więcej. Myli się. Właśnie dlatego, że autorka jest prawnuczką Maryli, nie można wymagać od niej, czego nie było w samej Maryli i jej otoczeniu. Owszem, autorka zdaje sobie sprawę ze znaczenia tego węzełka na prostej nitce rodziny Puttkamerów, lecz równocześnie fakt ten pomija. Jako osoba obdarzona żywą inteligencją i doskonale oczytana, docenia jego doniosłość, lecz jako członek rodziny odnosi się do niego z bardzo klanową dyskrecją. Gdy mówi o Bolcienikach, czuje się w niej nawet pewien żal, że stary dom Maryli został przez ojca autorki zburzony. Jednak żal ten jest równie na marginesie, jak poza marginesem pozostaje związanie z Marylą i robi wrażenie, że autorka jakby raczej żałowała, że przed zburzeniem domu nikt nie sfotografował malowanego sufitu z wyobrażeniem Apollina, aniżeli tego, że nie zachowano dla późniejszych pokoleń izb, w których żyła wiekopomna amantka. I tak jak nie ma Maryli, tak nie ma tu i Mickiewicza. Ale cóż się dziwić! Za jego czasów nie było go dla rodziny Wereszczaków, więc jak mógłby być dla Puttkamerów? Autorka mówi o Mickiewiczu jedynie jako o wieszczu, ponieważ w tej formie dotarł do niej w jej młodych latach. Lecz formy tej nie znano jeszcze ani w dawnych Tuhanowiczach ani w Bolcienikach i napewno nie uważano by jej za powód do koligacji. Mickiewicz nie był przecież ani majętny ani utytułowany. Pierwsze ważniejsze nawet od drugiego. (Lecz takie pojęcia o tyle znajdują usprawiedliwienie, że jak autorka nieraz podkreśla: majątek to ziemia; utrata ziemi dla kresowego społeczeństwa, to zmniejszenie polskiego stanu posiadania). Otóż w tym przyroście ciasnych ambicji prowincjonalnej szlachty, Mickiewicz był niczym. Dlatego też jako znajomy niczym nie zapisał się w tamtejszej pamięci. A prababka Maria? Nie patrzono na nią jako na heroinę największego poety polskiego. Mickiewicz Mickiewiczem, lecz tę miłostkę bez wątpienia uważano za pewną plamę na honorze Puttkamerów. Pradziadek ożenił się z Marylą, nie mniej zawiedziony Adam, zamiast pokryć swój romansik dyskrecją obowiązującą w towarzystwie, przez wiersze rozgłosił po całym świecie że kochał, a panna ponoć była mu wzajemna. A później ci ciekawi wszystkiego szperacze literatury! Nie — podobny nietakt rodzina musi pokryć milczeniem.

Tę klanową zmowę niedomówień spostrzega się zaraz na wstępie książki, kiedy autorka mówi o kłopotach przy wyborze dla niej imienia. „Odrzucono zgodnie Marię-Laurę, bo Maria z Wereszczaków budziła u Puttkamerów pewne zaklopotanie". Uwaga ta dała mi przedsmak sądu, jaki na podstawie bezpośredniego powiązania z Marylą i pod światłym wpływem znakomitego umysłu prof. Adama Żółtowskiego, męża autorki, prawnuczka zapewne wypowie o prababce. Zawiodłam się. Błyskotliwa, towarzyska rozmowa, której tematem będą wszyscy — prócz Maryli. Za to jednak autorki winić nie należy. Sama przecież przyznaje; „Do pierwszej światowej wojny w jednym z biurek w Bolcienikach leżały jeszcze paczki listów Marii z Wereszczaków do męża. W moim dzieciństwie słyszałem zdanie, że są „nudne i dotyczą samych spraw majątkowych", zapewne dlatego, że nie były pisane stylem pani de Sévigné. O wielkiej miłości największego z poetów polskich wspominano od czasu do czasu pod wpływem artykułu albo jakiegoś pytania, ale strona ludzka tego literackiego romansu mało kogo interesowała. Może winę należy przypisywać duchowi pozytywizmu czy też sceptyzmu, który dotarł aż „za Niemna brzegi..." I tak zapewne wychowywano też Marylę. Snobizm, trzeźwość pokryta afektacją i ambicje klanowe przysłoniły wszystko. Cat myli się pisząc, że po Puttkamerównie z domu spodziewał się czegoś więcej. Nie zastanowiło go widocznie, że autorka mogła odziedziczyć dużo cech prababki i w niektórych chwilach jest może jej odbiciem. Opisując karnawał w Krakowie, mówi jak to jeden z przyjaciół rodziny Puttkamerów segregując konkurentów do jej ręki, „przestrzegł moją matkę, żeby jak najprędzej przecięła konkury Daszewskiego. Słowo „ziemianin" nie było jeszcze w użyciu... tańczył zapamiętale i z dużym tupetem przedzierał się przez niewidziany krąg chłodu i milczenia, jakimi otoczone były panny pewnego typu. Na uniwersytecie mówiono o nim, że ma żyłkę awanturnika". Kiedy po karnawale panie opuszczały Kraków, „nagle z otchłani poczekalni wynurzył się i stanął przed nami Daszewski, trzymając w ręku koszyk pełen kwiatów... Jego obecność i kwiaty o mało moją matkę i mnie nie doprowadziły do wybuchu niecierpliwości. Odpowiadałyśmy mu półsłówkami pozorując zły humor zmęczeniem i sennością. Niezadowolenie mojej matki jeszcze się wzmogło, gdy się spostrzegła, że był świadek tak romantycznego pożegnania, zapewne ubawiony taką sceną. Opodal od nas na peronie stał Stanisław Wodzicki". Czy podobnie nie myślała Maryla i jej matka, kiedy Mickiewicz dotrzymywał im towarzystwa w Wilnie i czy nie uważały za śmieszne, że stara się o rękę panny? Zarzut więc, że w książce nie ma Maryli, jest głosem na pustyni, na której nie ma życia. Zastępuje go wegetacja i ta wystarczy. Mieści się w salonie. Możliwe, że tylko wyobraźnia Mickiewicza otoczyła Marylę legendą serca — a w rzeczywistości w Tuhanowiczach mieszkała panna pusta, o pewnych skłonnościach do sentymentalizmu, lecz trzeźwa. Snobizm jest kalkulacją. Panna, dzieląca ludzi na warstwy, z których dominującą w jej pojęciu była ta, do której należała. Ponieważ Mickiewicz nie zaliczał się do klanu, więc w sto lat później nie ma po nim wspomnienia.

I naraz w tym chłodzie i afektacji figur, zjawia się człowiek z krwi i kości, obdarzony sprężystą, rozumną myślą. Zaręczyny z Adamem Żółtowskim roztapiają makietę woskową z lat dziecinnych i panieńskich autorki. Czytając ostatni rozdział, czuje się ciepło bijące nagle z każdego słowa. Dlatego też postać Adama Żółtowskiego jest jedyną, która tu żyje. To już nie zdjęcie objektywem bez kamery, to akwarela; rzucona co prawda na papier welinowy, ale farby posiadają ciepło.

Cat może świadomie nie dostrzegł w książce jej najważniejszego waloru: dokumentacji. Pomijając styl, zbyt może domowy by zaliczać go do języka „bo w tej okolicy", pomijając pustkę i przedstawienie tylko jednego, bardzo wąskiego zresztą paska gleby niezbyt obfitej w pożyteczne plony, ma się wciąż przed oczami bierny lecz nieustępliwy opór kresów polskich wobec rosyjskiego zaboru. Równocześnie z chaosu ptaszarni jaką tworzą tu kobiety, wybija się co jakiś czas najważniejszy typ Polki. Ten, który przetrwał do dzisiejszych, chociaż innych od ówczesnych, czasów. Ten typ, który walczył o utrzymanie zachodniej kultury polskiej, a którą agresja rosyjska konsekwentnie niszczyła. „Nawet rodzina — pisze autorka — nawet niedostępny dla Moskala dwór zwichnięty był w swoim rozkwicie. Zniżony poziom umysłowy mężczyzn dawał kobietom pozorną przewagę. Normalnie małżeństwo bywa uzupełnieniem mężczyzny, w obyczajach ówczesnych uważano je za ratunek przed zmarnowaniem. Kobiety wychowywały synów, kobiety zostawione na majątku w ruinie wyprowadzały go z długów, a chowane z dala od szkoły rosyjskiej górowały umysłem i ogładą nad mężczyznami".

Czy książkę czyta się przyjemnie? Nawet bardzo. Na wstępie wspomniałam już jaki nastrój wywołała we mnie. Osobiście nie chwalę jej bez zastrzeżeń, lecz po przeczytaniu recenzji w „Słowie Powszechnym" staję w jej obronie. Słowa Cata nie są krytyką, lecz napadem. Zupełnie jakby ktoś z współczesnego punktu widzenia potępił „Dworzanina" Górnickiego. Takie były czasy, takie pojęcia i obyczaje i wartością wspomnień Janiny Żółtowskiej jest to, że nam je przekazała. Wolałabym co prawda, by horyzont pamiętnika był szerszy, spostrzeżenia głębsze i mniej bezkrytyczne, gdyby nie przywodził na myśl prasowych sprawozdań z balów w rubryce „Towarzyskie" — niemniej wartość, jako pewnego rodzaju dokumentu, posiada, choćby tylko dla tego jednego, o czym pisze autorka: „Niech mi wybaczą ci, których zanudzi ta wędrówka i opis, przypominający stare plany i inwentarze. Dla mnie jest ona bezcenna, bo utrwala rysy rzeczy dawno straconych i które może kiedyś zaćmią się w mojej pamięci.

Janina Żółtowska z Puttkamerów: „INNE CZASY INNI LUDZIE". — Wyd. Alma Book, Londyn, 1960. Str. 240 w oprawie. Cena 25s.

MOJA WYPRAWA KIJOWSKA

FRAGMENT WSPOMNIEŃ Z R. 1920

Napisał: Z. BORYNICZ

KIJÓW był już zdobyty i pułk mój po raidzie na Koziatyn operował już z całym wojskiem gdzieś na dalekiej Ukrainie, podczas kiedy ja jeszcze obijałem się w moim szwadronie zapasowym pod Krakowem. Nie była to moja wina, bo odkąd po zimowym tzw. urlopie akademickim wróciłem do kadry pułkowej starałem się usilnie o odkomenderowanie na front. Wstyd było czytać komunikaty wojenne wśród podmiejskich koszar, przy zajęciach, do których jako wachmistrz tzw. jednoroczny, czyli z cenzusem, nie czułem się nieodzowny. Ponadto, po ubiegłym roku spędzonym w polu, nauczyłem się patrzeć z odcieniem pogardy na głębokie tyły życia koszarowego, nudnego w swojej bezmyślnej monotonii i pozbawionego ryzyka służby frontowej, owianego nimbem żołnierskiej chwały. Za mało miałem jeszcze za sobą wojny, aby mieć prawo doceniać rozkosze zasłużonego odpoczynku, jak starsi weterani wojny światowej.

Z radością więc doczekałem się, gdzieś w ciągu maja, rozkazu wyjazdu w towarzystwie rotmistrza R. R., celem dołączenia do pułku. Chociaż we dwójkę, w praktyce jechaliśmy przeważnie każdy z osobna, bo według stopnia służbowego przysługiwały nam inne klasy, mnie trzecia. Nie mieliśmy terminów zbyt ścisłych i jeden dzień we Lwowie zmieścił się w programie bez trudu. Nie wiem jak żegnał się mój rotmistrz, ale ja z rodzicami i siostrą, przeżywając normalne w takich wypadkach wzruszenia i przelatujące głowę myśli, czy aby się jeszcze zobaczymy. Brat mój starszy był już w pułku i dla niego musiałem wieźć też rozmaite czułości i polecenia. Miasto było spokojne i tylko na dworcu kolejowym znać było zwiększony ruch wojskowy, trochę gorączki wojennej, kiedy następnego dnia odwoził mnie mój ojciec i w ludnej hali Dworca Głównego oddawał mnie w ręce rtm. R. R., według umówionego programu.

•

Ojciec mój wyznawał politykę, niechętną ideom wyprawy kijowskiej, ale nie poruszał tego tematu ze mną; reprezentowałem obowiązek służby wojskowej, stojący poza i ponad kontrowersjami polityki. Moje własne idee w tym zakresie były mieszaniną rozmaitych elementów. Jako Lwowianin, wychowany częściowo za Tarnopolem na wsi, widziałem w Rusinach, jak się dawniej mówiło, ludność głównie wiejską, bierną raczej i swojską, a w Ukraińcach ruch wrogi, zapisany świeżo w pamięci, zaledwie ukończoną walką o Lwów i wschodnią Małopolskę. Wyprawa nad Dniepr w przymierzu z Petlurą i dla uwolnienia tamtejszej Ukrainy spod panowania Rosji, teraz bolszewickiej, była ideą nową, głębiej przezemnie nie rozumianą i przysłoniętą chyba wspomnieniami sienkiewiczowskiego „Ogniem i mieczem", przy czym jednak kozacką czerń reprezentowali teraz bolszewicy. Wszystkie te idee wyprawy kijowskiej były zresztą raczej drugorzędnym wtedy współczynnikiem moich wewnętrznych przeżyć, których osią główną była sama służba wojskowa, pociągająca ale i zmuszająca do przezwyciężenia rozmaitych dreszczów niepokoju i trudności codziennych.

Znaną na pamięć od dzieciństwa, drogą na Krasne—Busk, Zborów i Tarnopol ruszyliśmy zapełnionym pociągiem osobowym na wschód. W Tarnopolu zdążyłem wpaść do krewnych, których nie zastałem za wyjątkiem dwuletniej córeczki, której drobną figurkę i duże, ciemnozielone oczy, wpatrzone we mnie z dziecinnym zdumieniem długo zapamiętałem jak ostatni wijatyk pożegnania rodzinnego. Dalsze szczegóły podróży kolejowej zatarły mi się w pamięci, ale polegała ona na typowo wojennych kontrastach komfortu: nocą od Płoskirowa bodaj do Żmerynki, jechaliśmy razem z moim rotmistrzem... luksusowym wagonem sypialnym, a potem dla odmiany lorami towarowymi, w których zresztą nie było towarów, tylko sprzęt wojenny i transporty uzupełnień frontowych.

Najwyraźniej wspominam ten końcowy etap kilkodniowej podróży kiedy sam w pustej lorze patrzyłem na szerokie pola mijanego kraju i czytałem „Trzy po trzy" Aleksandra Fredry, wspomnienia służby wojskowej z okresu dawnego, napoleońskiego ale odczuwanych wtedy przeze mnie jako bliskie i dobrze zrozumiałe. Nie chodziło przy tym o podobieństwo techniki wojennej z naszą, ówczesną roku dwudziestego. Uderzało mnie głównie podobieństwo reakcji na służbę wojskową. Fredro był także młodym ochotnikiem-inteligentem, dla którego wojna była obowiązkiem narodowym i przygodą patriotycznego amatora; opisywał ją we wspomnieniach bez łezki i blagi, z realizmem którego brak było nieraz w powieściach o wojnach. Od książki odrywałem często oczy, aby patrzeć na mijane strony, tak podobne do Podola tarnopolskiego, na faliste równiny, bezleśne rozległe pola, choć po kilku latach wojny przeważnie pod uprawą i żyzne, szumiące dojrzewającym zbożem; było to tak samo, rodzinne i swojskie Podole, tylko na większą skalę.

W BIAŁOCERKWI I KORSUNIU

Do Białocerkwi dojechaliśmy jeszcze koleją i tam znaleśliśmy się trochę jak w domu, bo na obszernym wygonie miasteczka — którego nie zwiedziłem nawet i z częściowo polską ludnością znajomości żadnej nie nawiązałem — zastaliśmy ciężki tabor naszego pułku. Powitał nas gościnnie jego dowódca, jowialny porucznik, zwany od nazwiska, Pagórem, lubiącym szanować swoją wygodę i spokój, czego jednak najbliższe miesiące także w taborach bynajmniej mu nie przyniosły. Tu, w Białocerkwi po kilku miesiącach wygodnego, cywilnego życia przypomniałem sobie wojenny tryb noclegu pod gołym niebem; w piękną noc letnią miłej było spać na dworze, niż w dusznych ścianach przelotnej kwatery.

W Białocerkwi też dowiedzieliśmy się już konkretnie, gdzie nasz pułk: stał w Korsuniu, trzymając go po północnej stronie Rosi i mając bolszewików naprzeciw za rzeką. Od nazwy Korsuń powiało groźnie krwawym wspomnieniem historycznym i pod tym wrażeniem zasypiałem na twardym posłaniu z koców z tobołkiem pod głową. Czym okaże się Korsuń dla nas, po trzech blisko wiekach? Nazajutrz zarekwirowanymi podwodami, już w kilku powracających do pułku i z bronią w tej przyfrontowej okolicy już potrzebną, ruszyliśmy dobrym gościńcem na południowy wschód, równolegle do biegu Dniepru, zbyt odległego by mieć go na widoku, biorąc szybkim tempem częste zjazdy i wzniesienia falistego, wyżynnego terenu. Na drogach panowały charakterystyczne dla pobliża frontu pustki, jeśli chodzi o ruch cywilny a oddziałów wojskowych nie spotkaliśmy także. Osady wiejskie, zasobne i rozległe, witały nas najczęściej nieufnym zaparciem drzwi, opustoszałymi ulicami i zagrodami.

Do Korsunia zjeżdżało się z góry i już tam zagwizdały, choć wysoko i rzadkie, pierwsze kule. Po szosie, która przemieniła się w główną ulicę miasteczka, kręcili się nasi ułani i rychło dopytaliśmy się mp. dowództwa, aby zameldować przybycie. W krótkiej drodze przydzielony do 1 szwadronu, którym dowodził por. F. Ł. i złożywszy tymczasem gdziebądź rzeczy do przepakowania później w juczki u siodła, poszedłem się witać z bratem i po szwadronach rozlokowanych w miasteczku, orientując się stopniowo w sytuacji. Nasz Korsuń roku 1920 nie był akcją poważną, krwawą ani groźną i nie zakończył się też klęską. Nad miasteczkiem, obsadzonym przez nasze szwadrony, świstały rzadkie i nie szkodliwe kule karabinowe od strony drugiego, wyższego brzegu, płynącej krętym jarem i otaczającej Korsuń półkolem, Rosi. Mogłem je oglądać, kiedy z kolei odwiedziłem nasze placówki, umieszczone nad samą rzeką, może na wysepce, w imitującym tandetnie swoją architekturą stary zamek obronny pałacyku, ograbionym przez bolszewików i opuszczonym przez mieszkańców. Z wieżyczek tego budynku, dziwnie zaskakującego swoją pretensjonalnością na pięknym tle raczej dzikiej przyrody ukraińskiego jaru pokazano mi na przeciwległych wzgórzach pozycje bolszewickiej piechoty, widoczne gołym okiem, słabe i o słabej sile ogniowej. Przyzwyczaiłem się też do tych bzyków, po raz pierwszy od miesięcy słyszanych i przestały już robić na mnie wrażenie, aż odwiedziłem kwaterę d-cy plutonu karabinów maszynowych ppor. E. Dz., w której pozorne zacisze wpadła przez okno kula i utkwiła nam nad głowami w ścianie. Ubogi pokój małego domku i obdarta kanapa, na której siedzieliśmy, nabrały nagle pamiętnego dotąd wyrazu i przywołały do porządku rzeczywistości rozluźnione nerwy.

•

Późnym wieczorem przyszedł rozkaz gotowania się do odmarszu. W ciemnej już stajni pokazano mi konia, na którego siodło się zapakowałem i o zupełnej już ciemności dosiadłem go, kiedy chyba koło północy opuszczaliśmy w spokoju Korsuń, przy czym — jak zwykle na moim szczeblu wachmistrza z cenzusem nie wiedziałem, ani dlaczego to się dzieje, ani dokąd maszerujemy. Po kilku miesiącach przerwy wdrażałem się na nowo w misteria sztuki kawaleryjskiego marszu, w moje obowiązki wachmistrza jadącego za plutonem i pilnującego porządku, więc przede wszystkim „łączenia na ogon", aby dwójkowa kolumna nie rozciągała się zanadto i zwłaszcza w nocy, aby ułani nie spali; we śnie bowiem, kiedy zatraca się elastyczność siadu, najłatwiej jest odparzyć konia czyli popełnić jedną z największych zbrodni jeźdźca. O świcie stwierdziłem nagle ze zdumieniem, że koń mój jest kasztanem, podczas gdy dosiadając po ciemku miałem go za skarogniadego; był to rosły i silny, godny zaufania rumak, którego bardzo polubiłem i żal mi, że jego właśnie imienia nie mogę sobie ani rusz przypomnieć. Pierwszy był Rek, drugi Rycerz, ostatni miał tylko numer bez imienia, a tego właśnie z Korsunia imię zapomniałem; może jeszcze uda mi się kiedyś wywołać je z pamięci.

Z TARASZCZY POD RYŻANÓWKĘ

Przy pięknej pogodzie i pięknym krajem, przez faliste pola i malownicze jary szliśmy w kierunku zachodnim marszem wolnym i bez kontaktu z nieprzyjacielem, jak okazało się do Taraszczy, miasteczka jeszcze mniejszego niż Białocerkiew czy Korsuń, ale za to ładniej zabudowanego. Pamiętam moją kwaterę w dworku z ogrodem przy poszerzonej w tym miejscu i zadrzewionej drodze ponad doliną, za którą na przeciwnym stoku był cienisty zagajnik. Tam też przeczytałem odezwy nasze wzywające naród ukraiński do walki o wolność, do której, niestety, owego roku 1920 jeszcze był chyba nie dojrzał; z mojej strony obserwowałem raczej bierną nieufność ludności.

•

W Taraszczy też usłyszałem pierwszy raz o Budiennym, z którym tyle bitew mieliśmy następnie stoczyć. Wiadomość ta przyszła w związku z zadaniem bojowym, w którym przypadło mi wziąć udział. Każdy z trzech pułków naszej brygady jazdy otrzymał rozkaz wysłania jednego szwadronu na daleki zwiad w kierunku na zbliżającą się od południa armię konną Budiennego, której komisarzem politycznym, jak dowiedzieliśmy się później, był niejaki Stalin, mniej znany wtedy przywódca bolszewicki. Z naszego pułku wyznaczony został pierwszy szwadron por. F. Ł. czyli i my z bratem mieliśmy wziąć udział w wyprawie. Ucieszyłem się tą perspektywą, bo najbardziej chyba lubiłem patrole i podjazdy, dające więcej swobody i pola do inicjatywy, będące czymś w rodzaju „żandarma i zbója" na poważnie.

W dobrych humorach więc i przy słonecznej pogodzie ruszyliśmy w drogę, przewidywaną na trzy dni czyli dwa noclegi bez żadnego taboru i z zaopatrzeniem w juczkach. Szliśmy pierwszego dnia bez szczególnej ostrożności ale przecież raczej omijając większe osiedla, bo dotrzeć mieliśmy w każdym razie do m. Ryżanówka i nie należało zaplątać się przedtem w przedwczesny kontakt z nplem. Po przyjemnym noclegu w małej wiosce, gdzie przyjęto nas dość życzliwie i za opłatą nakarmiono obficie w tym kraju bogatym, nawet po sześciu latach wojny, drugiego dnia szliśmy już z wielkimi ostrożnościami, wyszukując dróg bocznych i nisko położonych, jako, że ciągnące kolumny na tych stepowych przestrzeniach widne były zdaleka.

O południu zaczęliśmy się zbliżać do Ryżanówki, do której dojazd i nawiązanie kontaktu z stojącym tam nplem okazało się naszym zadaniem. Dowiedziałem się o tym, kiedy otrzymałem od por. F. Ł. zaszczytny rozkaz wykonania ostatniej części programu: dojazdu do miejscowości aż do ostrzelania. Ryżanówka widniała już o kilka kilometrów linią bujnego zadrzewienia i prześwitujących w nim budynków. Droga szła równiną, od której na lewo teren spływał w dół ku dość płytkiemu ale zalesionemu jarowi. Dowódca postanowił skierować szwadron ku temu jarowi, po lewej stronie drogi zbliżając się terenem zakrytym ku Ryżanówce, leżącej po jej stronie prawej. W ten sposób całość szwadronu mogła zbliżyć się do celu w ukryciu, podczas gdy moim zadaniem było podjechać prosto drogą i właśnie dać się zobaczyć.

Kłusem z kilku ułanami wzięliśmy kierunek na Ryżanówkę i szerokim szlakiem podjeżdżaliśmy szybko. Długo jednak czekaliśmy na reakcję npla. Było gorące popołudnie i placówki widać drzemały albo w ogóle nie spodziewały się już tutaj polskiego oddziału. Co gorsze i co mnie zaniepokoiło, wieś zaczynała się dość daleko na prawo od drogi, ciągnąc się równolegle do niej, tak że jadąc dalej mogłem być zagarnięty od tyłu, jeśli mnie umyślnie puszczano wprzód bez przeszkód. Wreszcie jednak otrzymałem upragnione strzały, bez których nie wolno mi było wracać. Przyszły od przodu, od miejsca gdzie droga tonęła w zabudowaniach Ryżanówki i po chwili nawet wyjechał stamtąd mały oddział, w którym rozróżniliśmy „taczankę" czyli karabin maszynowy na lekkim wózku, groźną, praktyczną broń bolszewickiej kawalerii.

Mając na prawo pierwsze zabudowania wiejskie, z których mogłem oczekiwać także ognia lub ataku i najeżdżającą taczankę od przodu, nie miałem nic lepszego do zrobienia jak cofnąć się do szwadronu. Zawróciliśmy konie i galopem, bo już pod ogniem ze wsi i w obliczu zbliżającej się taczanki, podaliśmy tyły. Oddaliwszy się nieco i wyzyskując zagłębienie terenu skręciłem następnie do szwadronu, który powinienem był znaleźć teraz na prawo od siebie w zalesionym jarze. Zastałem go w dole i por. F. Ł. wyżej, obserwującego teren, z którego wracałem. „Gonią Pana" skonstatował, co sam najlepiej wiedziałem i razem patrzyliśmy na defilujący oddział, któremu zniknąłem z oczu.

Miał jeszcze chwilę wahania mój dowódca. Dzielił nas od oddziału z taczanką na trakcie blisko kilometr pola, ale ciężkiej oraniny. Podciągnął rozwinięty szwadron z myślą o szarży. Bolszewicy zauważyli nas jednak i km. z taczanki przejechał po nas pierwszą, nieszkodliwą jeszcze serią. Konie były zmęczone, oranina ciężka, odległość duża i chyba słusznie nie zaryzykował szarży.

•

Tak skończyło się pogodnie i sportowo moje pierwsze spotkanie z Budiennym, z którym mieliśmy następnie tyle krwawych bitew aż po Lwów stoczyć, który w końcu rozbity został pod Komarowem i zapędzony z powrotem na Koziatyn jeszcze jednym raidem naszej jazdy. Po tym nawiązaniu kontaktu, do którego widać ograniczyło się zadanie naszego podjazdu, z wielkimi teraz ostrożnościami, bezdrożami i nocą wróciliśmy szczęśliwie przez teren npla do Taraszczy.

TYDZIEŃ POLITYKI MIĘDZYNARODOWEJ

WOJNA CZY POKÓJ?

ROZDZIAŁ brytyjskiej polityki zagranicznej, któremu dała początek wizyta p. Macmillana w Moskwie, został obecnie zakmnięty". Tak się rozpoczyna komentarz londyńskiego „Observera" do rozwlekłej odpowiedzi Chruszczowa na list Macmillana. Korespondent Robert Stephens pisze dalej, że należy wysnuć dwa wnioski z wymiany tej korespondencji. Pierwszy to ten, że chociaż Chruszczow nadal twierdzi, że pokojowa koegzystencja jest celem rządu sowieckiego, chce on jednak, by była ona osiągnięta wyłącznie na warunkach sowieckich. Drugi wniosek to ten, że sowiecka koncepcja międzynarodowego porozumienia oznacza totalne poddanie się Zachodu każdemu życzeniu sowieckiemu.

Podobna jest ocena wstępnego artykułu „Timesa", który pisze, że Chruszczow mówi, że stoi na gruncie współistnienia, lecz to współistnienie ma być osiągnięte na jego warunkach, a więc traktaty pokojowe z obu rządami niemieckimi, ustanowienie statutu wolnego miasta dla zachodniego Berlina, a w szerszym układzie współzawodnictwo dwóch światów, które, według dyktatora na Kremlu, da ostateczne zwycięstwo komunizmowi. W swym antykolonialnym wystąpieniu pisze „Times" — Chruszczow zapomina ostatnie rosyjskie „osiągnięcie" we wschodniej Europie oraz przesiedlenie całych narodów z Krymu i Kaukazu.

Z artykułów tych, jak i z tonu całej prasy angielskiej przebija rozczarowanie, zwłaszcza w odniesieniu do polityki „koegzystencji", którą Sowiety pojmują jako drogę wiodącą do kapitulacji Zachodu. Warto na to zwrócić szczególną uwagę, gdyż koegzystencja uwiodła niektórych polskich emigracyjnych publicystów...

W gruncie Chruszczow w swej odpowiedzi po prostu nawymyślał Macmillanowi, aczkolwiek silił się na uprzejmość pod jego osobistym adresem. Zarzucił więc brutalnie premierowi brytyjskiemu, że popiera stanowisko amerykańskie w sprawie zestrzelonych przez Sowiety dwóch samolotów, że sprzyja „agresji" belgijskiej w Kongo, że popiera Stany Zjednoczone w „napastniczej" polityce na Kubie, że obstaje przy polityce kolonializmu, przy czym ten „oswobodziciel" ujarzmionych narodów roni łzy nad głosem panującym rzekomo w koloniach brytyjskich itd. Po powtórzeniu wszystkich znanych i niezmiennych żądań sowieckich w sprawie niemieckiej, Chruszczow wyraźnie stwierdzał, że istnieje niebezpieczeństwo wojny. W sprawie rozbrojenia jego pogląd jest nadal diamentralnie odmienny od pojęć zachodnich.

Macmillan nie otrzymał nawet zgody na sugestie, że mogłby się podjąć roli pośrednika między Związkiem Sowieckim a Stanami Zjednoczonymi. Chruszczow nie wyłącza rozmów w przyszłości, ale w każdym razie nie mogą one nastąpić przed wyborem nowego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Tak wygląda osławiona koegzystencja...

NASTĘPSTWA tego stanu nie kazały na siebie długo czekać. Kanclerz Adenauer po powrocie ze spotkania z generałem de Gaulle zaprosił Macmillana do Bonn. Jaki jest dokładny cel tej wizyty nie wiadomo, gdyż rozmowy francusko-niemieckie trzymane były w tajemnicy. Lecz ogólnie przypuszcza się, że zaproszenie Macmillana pozostaje w związku z projektami zacieśnienia węzłów między sześciu krajami Wspólnego Rynku i to zarówno pod względem gospodarczym, (unia celna) jak i politycznym (utworzenie wspólnego politycznego sekretariatu).

Przed podjęciem ostatecznych kroków Adenauer postanowił, za zgodą gen. de Gaulle'a, ponowić próbę osiągnięcia współpracy z Anglią i wytworzenia wobec coraz bardziej zaczepnej postawy Rosji Sowieckiej wspólnego frontu całej Europy zachodniej. Kanclerz niemiecki obawia się, że Moskwa będzie dążyła do wyzyskania „interregnum" w Stanach Zjednoczonych dla dokonania zamachu w Berlinie.

Inicjatywa Adenauera spotkała się tym razem z dobrym przyjęciem w Londynie, gdyż zbiegła się z prowokacyjnym listem Chruszczowa. Zbliżenie W. Brytanii do Wspólnego Rynku byłoby logicznym następstwem pogróżek Chruszczowa.

TYMCZASEM zimna wojna toczy się w najlepsze. Dyktator Kuby, podjudzany przez Moskwę, skonfiskował w całości mienie amerykańskie na tej wyspie. Episkopat Kuby wydał nowy list pasterski, stwierdzający po prostu, że rząd Kuby ustanowił „ścisłe stosunki z krajami komunistycznymi, a w szczególności ze Związkiem Sowieckim i nieustannie i gorąco wychwala system, jakiemu są poddane narody pod jarzmem komunistycznym". Czyli agresja komunistyczna na Kubie pogłębia się z każdym tygodniem...

Dochodzi do tego sprawa Konga. Sytuacja tam znacznie się skomplikowała w skutek postawy, zajętej przez premiera Katangi Czombę, który odmówił wpuszczenia wojsk ONZ do tej prowincji. Stanowisko to jest poniekąd zrozumiałe. Wojska ONZ znalazły się w Kongo dlatego, by przywrócić tam ład, lecz w Katandze, która niedawno ogłosiła niepodległość, panuje spokój i porządek.

Premier Czombe, który właśnie został jednomyślnie wybrany przez miejscowy parlament głową państwa, okazał się politykiem znacznie wyższej klasy, niż premier Lumuba — demagog, gotowy w razie czego współpracować z Moskwą. Czombe nie ukrywa obaw, iż wraz z wejściem wojsk ONZ do Katongi rozpocznie się tam anarchia i katastrofalne rządy Lumumby. Zagroził mobilizacją powszechną i przeciwstawieniem się z bronią w ręku wojskom ONZ. Wobec tego sekretarz generalny ONZ Hamarskjoeld odwołał wprowadzenie wojsk do Katangi i zwrócił się do Rady Bezpieczeństwa o nowe instrukcje.

Stanowisko Hammarskjoelda wywołało furię w obozie komunistycznym, lub sprzyjającym komunizmowi. Gwinea — państwo afrykańskie — stojące blisko obozu komunistycznego — oddało do dyspozycji Lumumby swe siły zbrojne (zresztą b. słabiutkie) oświadczając, że wobec wycofania się wojsk ONZ z podjęcia misji w Katandze jest gotowa sama interweniować. Podobne oświadczenie złożyła Ghana zwracając główne ostrza swej wypowiedzi przeciw Belgii.

Odezwała się przede wszystkim Rosja oświadczając, że sytuacja w Kongo stała się „nie do zniesienia". Nie należy przy tym ani na chwilę zapomin. o bogactwach mineralnych Katangi, które zaostrzają apetyt Rosji Sowieckiej.

Z zachowania się prasy angielskiej i francuskiej wynika, że Francja i Anglia, aczkolwiek w zasadzie popierają stanowisko Belgii, postanowiły nalegać na nią, by nie sprawiała zbytnich trudności i wycofała w pewnych dłuższych terminach wojska swe z Katangi, dopuściła tam „symboliczny" garnizon ONZ i współdziałała w wytworzeniu systemu federacyjnego w Kongo. To ostatnie żądanie stało się szczególnie aktualne wobec wypowiedzenia się w Leopoldville stronnictwa prezydenta Kongo, Kasawubu, za federacją i przeciw premierowi Lumumby.

W Nowym Jorku panuje opinia, że o ile nie dojdzie w sprawie Konga do jakiegoś kompromisu, to „nie wiadomo co się stanie". Chodzi w szczególności o niedopuszczenie do Konga wojsk sowieckich lub zorganizowanych przez popleczników Moskwy w Afryce. Wojska ONZ są, według opinii Londynu i Paryża, najlepszą na razie zaporą przed siłami komunistycznymi, działającymi jawnie lub skrycie. Na jak długo jednak ta zapora starczy?

Raport sekretarza generalnego ONZ był zredagowany w duchu dramatycznym. Pan Hammarskjoeld stwierdził, że przed Radą Bezpieczeństwa staje zagadnienie wojny czy pokoju i to nie tylko na terenie Konga, ale prawdopodobnie na terenie całego świata. Sekretarz generalny ONZ szukał dlatego wyjścia ugodowego i uniknięcia starcia zbrojnego, choćby czysto lokalnego.

Wręcz odmienne jest stanowisko Sowietów. Dolewają one, jak mogą, oliwy do ognia, dążąc do wywołania większej awantury, która umożliwiłaby Rosji interwencję w Afryce. Delegat sowiecki w Radzie Bezpieczeństwa Kuźniecow przemawiał w duchu prowokacyjnym i wojowniczym. Wzywał on oddziały ONZ w Kongo, by siłą wkraczały do Katangi. Kuźniecow wyraźnie spodziewa się strzelaniny.

AGRESYWNE i wojownicze zachowanie się Sowietów skłoniło prezydenta Eisnhowera do wysnucia jedynie właściwych wniosków. W orędziu do Kongresu zapowiedział on „rozszerzenie" programu zbrojeń przez budowę większej ilości lotniskowców i bombowców B-70, a zwłaszcza przez dalsze rozwijanie pocisków rakietowych Polaris dla okrętów podwodnych. Ulegnie również wzmocnieniu pogotowie zbrojne Stanów Zjednoczonych. Między innymi 6. Flota na Morzu Śródziemnym i 7. Flota na Dalekim Wschodzie otrzymają dalsze lotniskowce.

Rada Bezpieczeństwa przyjęła niezbyt fortunną uchwałę w sprawie Konga 9 głosami przy 2 wstrzymujących się (Francja i Włochy). Rosja Sowiecka wycofała swój projekt rezolucji i głosowała razem z większością. Sprawa jednak nie została załatwiona do końca. Wojska belgijskie mają się wycofać natychmiast pod warunkami ustalonymi przez sekretarza generalnego ONZ. Ale co się stanie gdy w Katandze rozpocznie się anarchia? Wojska ONZ mają wejść do Katangi i p. Czombe zgadza się na to, ale postawił dwadzieścia warunków m. in. żeby oddziały nie pochodziły z krajów komunistycznych lub sprzyjających komunizmowi. Ma na myśli Ghanę i Gwinę.

Rozgoryczona Belgia zapowiedziała rewizję swego finansowego udziału w NATO. Sprawa nadal przedstawia się niebezpiecznie i grozi dalszymi komplikacjami.

R. P.

REŻYMOWI KATOLICY PROTESTUJĄ

„Słowo Powszechne" zamieściło 26 lipca br. „list otwarty" do „Osservatore Romano", wyrażający gniew w związku z niedawnym wystąpieniem na łamach tego pisma publicysty Federico Alessandrini, który m. in. zarzucił Bolesławowi Piaseckiemu, przewodniczącemu Stowarzyszenia PAX, „współpracę z hitlerowcami".

Autorami tego listu są pisarze współpracujący z PAX-em: **A. Kłafkowski, W. J. Grabski, W. Żukrowski, F. Dobraczyński i A. Bocheński.** (FEC)

KRONIKA TYGODNIA

2 sierpnia

Hamarskjoeld oświadczył, że wojska ONZ wkroczą na terytorium Katangi, prowincji, która ogłosiła secesję z republiki kongolijskiej. Wiadomość wywołała przerażenie wśród ludności europejskiej.

Lumumba, premier Konga, w drodze powrotnej z Nowego Jorku do Leopoldville zatrzyma się w Londynie i w Tunisie.

Truman zapowiedział swe czynne poparcie w kampanii wyborczej Kennedy'emu.

Pierwsze oddziały belgijskie wycofane z Kongo przybyły do Brukseli.

3 sierpnia

Premier Katangi, Tshombe, ogłosił powszechną mobilizację zapowiadając, że będzie walczył z wojskami ONZ. Eyskens, premier belgijski, zapowiedział, że oddziały belgijskie będą się wycofywały w miarę napływania oddziałów ONZ, którymi będą kontyngenty szwedzki i marokański.

Data referendum w Unii Południowoafrykańskiej, w której ma zapaść postanowienie ogłoszenia Unii republiką, została wyznaczona na 5 października br.

Stany Zjedn. postanowiły wzmocnić 6 Flotę (na Morzu Śródziemnym) i 7 (na Oceanie Spokojnym), przydzielając do nich nowe lotniskowce o większym zasięgu operacyjnym dla pocisków jądrowych.

4 sierpnia

Raul Castro zaprzeczył pogłoskom o nieuleczalnej chorobie swego brata Fidela.

W Londynie konferencja przywódców murzyńskich i europejskich z Nyasalandu osiągnęła kompromis w sprawie przyszłości politycznej tej kolonii.

Pomimo protestów Katangi dr Bunche, delegat ONZ przebywający w Elizabethville przygotowuje objęcie tej prowincji przez wojska międzynarodowe w miarę wycofywania się oddziałów belgijskich.

Lumumba z Tunisu przybył do Maroka.

Premier Macmillan otrzymał odpowiedź Chruszczowa na swój list, w którym zapytywał o cele polityki sowiec-

Joe Walker pilot amerykański osiągnął na samolocie odrzutowym X-15 szybkość 2150 mil (ponad 3500 km) na godzinę.

5 sierpnia

Na kilka godzin przed zapowiedzianym wkroczenie wojsk ONZ do Katangi, Hammarskjoeld odwołał swe rozkazy i odleciał z Leopoldville do Nowego Jorku, na specjalne posiedzenie Rady Bezpieczeństwa.

Lumumba oświadczył w Maroku, że podda rewizji swój stosunek do postanowień Rady Bezpieczeństwa w sprawie Katangi.

Rosja zagroziła użyciem siły w Kongo, jeśli „wojska interwencjonistów" (belgijskie) nie zostaną całkowicie wycofane.

Dwóch pracowników Narodowego Urzędu Bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych, B. F. Mitchell i W. H. Martin, którzy nie wrócili do pracy po urlopie znajduje się prawdopodobnie za żelazną kurtyną. Są to fachowcy — matematycy zatrudnieni przy ściśle tajnych pracach obronnych.

Gabinet brytyjski ocenił odpowiedź Chruszczowa na list Macmillana jako napastliwy, brutalny i arogancki.

Chruszczow stwierdza, że będzie zestrzeliwał „obce samoloty" zdążające w kierunku Sowietów, nawet jeżeli nie przekroczyły granicy sowieckiej lub sowieckich wód terytorialnych.

6 sierpnia

Lumumba na wiadomość, iż wojska ONZ nie wkroczą do Katangi oświadczył, iż gotów jest zerwać stosunki z ONZ i że obejdzie się bez ich pomocy, gdyż otrzyma ją z innych źródeł m. in. od poszczególnych państw afrykańskich.

Nkrumah, prezydent Ghany, gotów jest rzekomo ogłosić powszechną mobilizację w celu wysłania wojsk na pomoc rządowi kongoskiemu.

Gabinet brytyjski rozpatrywał odpowiedź Chruszczowa na list Macmillana. Prasa brytyjska określa ją „jako koniec nadziei porozumienia wschodu z zachodem" (Observer).

7 sierpnia

Rząd kubański wydał dekret na mocy którego cały majątek amerykański na Kubie ulega konfiskacie.

Prezydent Konga, Kasavubu, zdezawuował wystąpienie premiera Lumumby przeciwko ONZ, ogłaszając program stworzenia „federacji" Konga, zamiast państwa scentralizowanego. Członkowie partii Kasavubu demonstrują w Leopoldville.

Rosja przypuściła gwałtowną napaść na Hamarskjoelda nazywając go „sługusem kolonialistów".

Tshombe, premier Katangi, apelował do „sumienia świata" o uznanie p. wa samostanowienia. Powtórzył również swe zapewnienie, że będzie walczył przeciwko obcym wojskom, obojętnie czy będą nimi siły ONZ czy jakiekolwiek pojedyńcze państwa.

8 sierpnia

Eisenhower zarządził wzmocnienie floty i lotnictwa amerykańskiego w obliczu „zmiennej taktyki komunistycznej".

Ameryka złożyła protest rządowi Kuby wobec konfiskaty wszelkiej własności amerykańskiej.

Adenauer w porozumieniu z de Gaulle'm wypowiedział się za stworzeniem silnego bloku zachodnio-europejskiego z udziałem W. Brytanii.

W Kongo grozi wybuch wojny, która „nie ograniczy się tylko do tego kraju" oświadczył Hammarskjoeld na sesji Rady Bezpieczeństwa.

Cejlon i Tunis zgłosiły wniosek na Radę Bezp. domagający się opuszczenia Konga i Katangi przez wojska belgijskie. Wniosek sowiecki, ostrzejszy w formie, domaga się tego samego.

Między prezydentem Kasavubu i premierem Lużumbą powstał ostry konflikt. Prezydent wypowiedział się za formą federacyjną ustroju.

9 sierpnia

Rada Bezpieczeństwa zażądała opuszczenia całego Konga przez wojska belgijskie.

Tshombe zgłosił się na wejście wojsk ONZ do Katangi pod warunkiem, że nie będą się mieszać do spraw wewnętrznych i że nie będzie wśród nich kontyngentów „państw sprzyjających komunistom" tj. Ghany i Gwinei.

Lumumba zmusił ambasadora belgijskiego do opuszczenia Leopoldville.

Wg. doniesienia „Tassa" Francis Powers „przyznał się do zarzutu szpiegostwa nad ter. sowieckim". Waszyngton komentuje, iż Powers był w ręku sowieckim już przez 101 dni...

Belgia oświadczyła, że musi dokonać rewizji swego stosunku do NATO w związku z trudnościami gospodarczymi i wobec zmuszenia jej do opuszczenia baz w Kongo.

ROZNICE MOSKWA - PEKIN WYOLBRZYMIANE

New York Herald Tribune z 8 bm. donosi z Bostonu, że szef wywiadu armii amerykańskiej gen. mjr John M. Willems na marginesie rozszerzanych wiadomości o rzekomym zerwaniu między Moskwą a Pekinem oświadczył: „Nie ma podstaw do uznania, że istnieje rzeczywisty konflikt. Chiny są całkowicie zależne od Związku Sowieckiego. Gdyby było jakieś zerwanie jestem pewny, że Rosja cofnęłaby swoją pomoc".

Gen. Willems, informuje dalej przytoczone pismo, zrobił ten komentarz w związku z doniesieniami ze Sztokholmu o rzekomym zerwaniu między Czu-En-Lai'em a Chruszczowem. „Nie wątpię, mówił dalej, że Sowiety i czerwoni Chińczycy dyskutują między sobą i spierają się oraz nie wątpię, że są między nimi różnice, ale nie wierzę, by było poważniejsze zerwanie".

Oświadczenie powyższe, bez wątpienia dobrze poinformowanej osobistości, jest szczególnie interesujące w świetle całej powodzi „faktów", mających świadczyć o konflikcie na linii Moskwa-Pekin, szerzonych, nie tylko ze Sztokholmu. (S)

CENA EGZEMPLARZA: w W. Brytanii 1/3 sh. — we Francji NF 0.75 — w Austrii 1.50 Sch. — w Belgii 7 fr. b. — w Holandii 60 cent — w Niemczech 60 Pf. — w Portugalii 3 esc. — w Szwecji 90 öre — we Włoszech 60 lir. — w Australii A 1sh. 9d. — w Argentynie $0.20 (w przeliczeniu) — w Kanadzie 20 cent. — w Stanach Zjedn. 20 cent. — w Szwajcarii 60 rp

PRENUMERATA (opłata za przesyłkę lotniczą wg taryfy, płatna z góry). Zamówienia i należności przyjmują: W W. BRYTANII: „Gryf"-Publications Ltd., 169-171, Battersea Church Rd. London, S.W.11; miesięcznie 6/-, kwartalnie 16/6, rocznie £3.0.0; Zmiana adresu 1s. — W BELGII: miesięcznie: frb 25, kwartalnie frb 75; Mrs J. Korab-Brzozowska-Csaky — 19 Square Sainctelette, app 2 Bruxelles; wpłacać na rachunek poczt.: J. Korab-Brzozowska-Csaky nr 7315.20, podając swój dokładny adres. — WE FRANCJI: N.F.: kwart. 8.00, rocznie 28.00, Administracja „Syreny" 20 rue Legendre Paris 17. Konto poczt. Edit. ELKA-Paris 5507-30; „Libella" Libraire 12 rue St Louis en l'Ile, Paris IV, nr konta poczt. Paris ce 565150. Francja Północna: inz. Eugeniusz Tuszewski, 107, rue Royale Lille (Nord) tel. 558-50. Dep. Bouches-du-Rhône, Var, Vaucluse: Stefan Horodyński Ecole des Filles, La Penne sur Huveaune (Bouches-du-Rhône). W HOLANDII: mies. fl. 2.00, kwart. 5.50; wpłacać przek. poczt.: Fr. Małecki Tulpenlaan 17 Lindenheuvel, Geleen (L.). — W NIEMCZECH: Stanisław Mikiciuk (13b) München 45 Gablonzerstrasse 7/I. — W NORWEGII: koron mies. 4, kwart. 10, rocznie 36; Narvesens Kiosk Kompanii Postbox 115, Oslo. — W PORTUGALII: kwart. 35, rocznie 120 esc.; A. Zieliński Lisboa Central Caixa Postal Nr 110. — W SZWAJCARII: fr.szw. mies. 2.00, kwart. 5.50; Maria Wasung 6 rue des Lilas, Genève i Janusz Rakowski, Mainaustr. 28 Zurich. — W SZWECJI: koron: mies. 3.60, kwart. 10, rocznie 36; Polski Komitet Pomocy, Jungfrugatan 30/II Stockholm. — WE WŁOSZECH: lirów: kwart. 700; W. Zahorski, Associazione Combatt. Polacchi, Via Licia 19-9, Roma; należność wpłacać przekazem poczt. — W ARGENTYNIE: prenumerata roczna $8.00 (w przeliczeniu); Tadeusz Dabrowski, „Libreria Polaca" Serrano 2076, Buenos Aires. — W BRAZYLII: półrocznie $4.00, rocznie $8.00; Z. Kietlińska, Av. Batel 1514 Curitiba, Parana. W AUSTRALII: „Vistula" (Australia) Pty. Ltd., Daking House Rawson Place Sydney; „Społem" 64, Tapleys Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S.A.; kwart. £1.0.0A, rocznie £3.15.0A. W KANADZIE: rocznie $8.00; „Gryf", Londyn. — W PŁD. AFRYCE: kwartalnie 16/6, rocznie — 60/-; Prenumeratę przyjmuje bezpośrednio „Gryf" Publications Ltd. — W STANACH ZJEDNOCZONYCH: Prenumerata kwartalna — $2.10, półroczna — $4.00; Przedstawicielstwa: L. Dudarew-Ossetyński, „Wilno" 28471 Ventura Boulevard, Agoura P.O. Box 113, California; „Gryf", W. Bieńkowski, 296 Sheridan Ave., Albany N.Y., Polish American Book Co., 1136 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill., „Księgarnia Ludowa" J. Żukowski, 5347, Chene St. Detroit 11, Mich.

CENA OGŁOSZEŃ: za jeden cal przez jeden łam £1.5.0, wzgl. 1 cm. przez jeden łam 750 fr. fr. Przyjmuje GRYF PUBL. LTD., 171, Battersea Church Rd., London, S.W.11; Adm. „Syrena", 20, rue Legendre Paris 17, tel. WAGram 0045; Carlton Berry Ltd., Gr. Buildings, Trafalgar Sq. London, W.C.2; lub Odra Press Ltd. 16, Drayton Ct., London, S.W.10.

Nadesłanych rękopisów Redakcja nie zwraca.

Za treść ogłoszeń Redakcja nie bierze żadnej odpowiedzialności.

Adres Redakcji i Administracji:

„Gryf" 171 Battersea Church Rd., London, S.W.11. Tel. BATtersea 1445.
We Francji: „Syrena", 20, rue Legendre, Paris 17. Tel. WAGram 0045.
Konto pocztowe: Editions ELKA c.c. Paris 5507-30.

Printed and published by „Gryf Printers (H. C.) Ltd." 171, Battersea Church Road, London, S. W. 11. Registered at the G.P.O. as a newspaper